Nr. 29. Warszawa, dnia 6 (18) Lipca 1896 r. Rok XVI.

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“ (wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Od dnia 8 lipca Administracya Prawdy mieści się przy ulicy Nowogrodzkiej, w domu Hosera, nr. 39.

POLITYKA.

NOWY GABINET WŁOSKI.

Po czterech zaledwie miesiącach istnienia gabinet Rudiniego, wytworzony pod przygnębiającem wrażeniem klęski w Abisynii i lekkomyślnej entrepryzy Crispiego, leży już w gruzach; ale człowiek, który mu przewodniczył, na poprzedniem swojem stanowisku stoi jeszcze i rządzi. Co padło, nazywać się będzie w historyi „gabinetem pierwszym Rudiniego,“ co na gruzach stanęło— „drugim.“ Dzięki wczasom letnim i znużeniu systematów nerwowych, nowa baszta dotrwa do zimy, w zimie jednak pójdzie za przykładem swej poprzedniczki i runie. Kryspijczycy rozstali się ze swym wodzem z żałością, ulegli, bo musieli; ale niedomaganie państwa, zwichrzenie stosunków, skazy i luki programatu Rudiniego pozwolą im oderwać się od sycylijskiego margrabi, gdy nastanie pora upalna w polityce—zima. Upadek pierwszego gabinetu Rudiniego sprowadzili ministrowie wojny i skarbu, Ricotti i Colombo, przez projekt zmniejszenia sił liczebnych armii na stopie pokoju. Ricotti zamierzył go przeprowadzić przed jesienią; rada ministrów postanowiła roztrząsanie w sejmie odroczyć do listopada. Ricotti zaraz podał się do dymisyi, a wraz z nim i cały gabinet.

Król powołał napowrót Rudiniego do utworzenia nowego zarządu centralnego. Stało się to d. 11 b. m. W cztery dni później nowy zarząd był już utworzony, z wyjątkiem nieobsadzonego jeszcze ministeryum spraw zagranicznych, które margrabia ofiarował Viscontiemu-Venoście. Inne wydziały objęli: gen. Pelloux — wojskowość, Brin — marynarkę, Costa — sprawiedliwość, Branca — skarbowość, Luzzatti — skarb, Gianturco — oświatę, Prinetti — roboty publiczne, Guicciardini — rolnictwo, Sinco—poczty i telegrafy. Sam Rudini zawiaduje „tymczasowo“ sprawami wewnętrznemi, ale telegraf nie donosi o staraniach dla pozyskania umyślnego ministra w tym wydziale, i może się tymczasowość utrwali. Gen. Pelloux wszedł do gabinetu tylko pod warunkiem utrzymania pieniężnego etatu wojska w wysokości 246 milionów lir; to więc tylko obcięciu w liczebnym etacie ulegnie, co kosztami utrzymania tę sumę przekroczy. Taki jest układ; jaką będzie rzeczywistość— tego sami układający nie wiedzą. Najprędzej wszystko zostanie po dawnemu. Wielkie mocarstwo musi mieć i wielkie wojsko. Erytrei też zupełnie ogarniać nie sposób. Colombo, zdolny bardzo skarbowiec, dlatego wyszedł, że chciał jej budżet zmniejszyć aż o 5 milionów lir. Na to nie pozwoliłby nigdy król, a pozwolić nie mógł i Rudini. Nie chce on wielkiej polityki Crispiego, ale chce utrzymania tego, co się już ma, a przytem nie zrzeka się i przyszłości i pragnie przynajmniej kadry niezbędne dla niej zachować.

Oszczędności, popierane przez Ricottiego i Colomba wyrobiłyby Włochom złą markę międzynarodową. Jednym z warunków trójprzymierza jest pewne *minimum* zbrojności sprzymierzeńców. Bismarck surowo przestrzegał tej stopy najniższej i zmniejszać jej nie pozwalał. O nią rozbijały się już nawet gabinety włoskie. W marcu r. b. hr. Gołuchowski, upewniając się co do dalszego trwania przymierza, umówił się z ks. Hohenlohem, aby pozwolić Włochom na pewne nieznaczne zmniejszenie armii. Projekt Ricottiego granice pozwolenia przekraczał. Były minister wojny projektował zniżenie stanu liczebnego wojsk w czasie pokoju blizko o 80,000 ludzi. Od każdego batalionu piechoty odcinał jednę kompanię, osłabiał ją przeto o 336 kompanij. Jazda miała utracić 36 szwadronów, artylerya 288 dział. Wszystkie te straty chciał Ricotti pokryć zdwojeniem milicyi; ale, rzecz prosta, milicya nie zastąpi linii, a dla trójprzymierza mogła mieć tylko wartość zasobu na czas wojny. Słusznie przeto uczynił Rudini, wraz z większością ministrów, że się oparł reformie. W sejmie wielu bardzo deputowanych ją popierało; większości by wszakże nie znalazła. Sejm ma być zwołany, po odroczeniu przygodnem, na 21 lipca.

Tydzień polityczny. Do prezydenta Faure'a strzelał d. 14 b. m., w rocznicę wielkiej rewolucyi, jakiś desperat, Francois z nazwiska, „literat“ z zawodu. Ten sam psychopata okazuje się teraz sprawcą zamachu w Palais Bourbon, dokonanego—przez rozsypanie kartek z galeryi. Strzał dany z rewolweru o 50 kroków oczywiście Faure'owi samemu krzywdy wyrządzić nie mógł; nie skrzywdził też i nikogo innego, pomimo tłumnego zbiegnięcia się ludu na Li-hung-czanga i na uroczystość. Telegraf chwali zimną krew prezydenta. Cesarz Wilhelm podczas podróży na północ, wyratowawszy w tych dniach statek francuski „Chanzy,“ pośpieszył powinszować Francyi ocalenia jej prezydenta. Uroczystość, uświetniona paradą, zachwyciła Li-hung-czanga.

Ks. Hohenlohe był d. 15 b. m. w Ischl, przybywszy z Aussee. Przez trzy kwadranse rozmawiał w cztery oczy z cesarzem Franciszkiem Józefem.

Na Krecie zgromadzenie, zwołane jeszcze na 29 czerwca, zebrało się w Kanei d. 10 b. m. Chrześcian eskortowało wojsko. Grecy zaprotestowali przeciwko konwokacyi w języku tureckim. Epitropia uległa: żądała tylko udzielności, jak na Samos, ale i od tego odstąpi. Turcya ma za sobą dyplomacyę. Narady odbywać się będą przy akompaniamencie rzezi, wyprawianych przez Turków. Konsulowi angielskiemu zabroniono rozdawać wsparć między chrześcian — w umyślnych wycieczkach po wyspie.

Izby francuskie od 11 b. m. już wypoczywają. Na odchodnem deputowani zwalili całą reformę Cochery'ego. Radykalni daremnie dopominali się amnestyi politycznej i szturmowali o Madagaskar: try-

bunowie ludu potrzebowali już wytchnienia i spychali wszystkie kłopoty z głów, byle prędzej odetchnąć. Na Madagaskarze powstanie prawie ogólne; gen. Voyron ma być odwołany.

Hamburger Nachrichten napisały artykuł, który na *Morning Poście* sprawił takie wrażenie, jak gdyby się już trójprzymierze rozchwiewało.

Jednocześnie rozchodzą się pogłoski o dymisyi Salisbury'ego—z powodu podeszłego wieku.

Turcya obliczyła nareszcie ofiary rzezi w Armenii od listopada 1894 do wiosny 1896 r. Z kredki tureckiej wyszło niecałe 11,000 zabitych i przeszło 3,600 ranionych i pokaleczonych. Z tego na mahometan przypada 1,828 i 1,433.

Naokoło Buluwajo powstanie Matabelów wzrasta i szerzy się ku Beczuanie.

W Brukseli i Antwerpii zwyciężyli d. 12 b. m. katolicy (zachowawcy). Po odnowieniu się połowicznem Izba deputowanych będzie miała 111 katolików, 29 liberalnych i 12 socyalistów.

BIL IMIGRACYJNY

W Izbie posłów Stanów Zjednoczonych

Od dawna datuje się niechęć prawodawców amerykańskich do przybyszów obcych. Ostatnie kilka lat wywołały istną gorączkę pośród polityków tutejszych w kierunku ograniczenia przypływu coraz to nowych mas, „zbytecznych" na europejskich rynkach pracy. Zrazu ograniczono się niewpuszczaniem na ląd Stanów Zjednoczonych ludzi, nieposiadających pewnej sumy pieniędzy (30 dolarów). Obecnie posunięto chęć ograniczenia znacznie dalej, mianowicie Izba posłów w kongresie Stanów Zjednoczonych przyjęła bil, w którym jeden ustęp brzmi: Osobom w wieku od lat 16 do 60, nieumiejącym czytać i pisać przynajmniej w swoim własnym języku, wstęp do Stanów Zjednoczonych jest wzbroniony. Nie wolno też robotnikom (głównie kanadyjskim) przyjeżdżać w celach zarobku, a po kilku miesiącach wracać.

Zwolennicy ograniczenia napływu obcej ludności stawiają aż cztery przyczyny dla poparcia swoich żądań. Przyczyny te wyliczyli oni i przez usta posłów w Izbie niższej, przy obradach nad powyższym bilem. Dla bliższego poznania tej sprawy przyjrzyjmy się najpierw owym czterem przyczynom, a następnie ich istocie. Oto cztery pierwsze: 1) wielu przybyszów nie wciela się w tutejszą starodawną ludność, tj. nie amerykanizuje się dosyć szybko, przez co powstają niepożądane stosunki; 2) istnieje już obecnie przeludnienie w granicach Stanów Zjednoczonych; 3) współzawodnictwo obcych z robotnikami tutejszymi; 4) coraz większy napływ w ostatnich latach niepożądanych ludzi z Europy.

Pierwsza z powyższych przyczyn, tak dziwna w ustach członków społeczeństwa mieszanego, jakiem jest amerykańskie, wprost mija się z prawdą. Kto bliżej poznał życie obcokrajowców w Stanach Zjednoczonych, temu odrazu rzuca się w oczy łatwość i szybkość, z jaką zlewa się ludność przybyła ze starego świata z osiadłą dawniej. Niema tu, co prawda, specyalnych urządzeń, mogących służyć do wynaradawiania przybyszów, niema usiłowań, a przynajmniej bardzo słabe, do amerykanizowania ich, pomimo to—dzięki właśnie brakowi jakiegokolwiek nacisku z góry — wcielanie się wszelkich narodowości w starodawną ludność tutejszą, to jest anglo-saksońską, odbywa się z zadziwiającą szybkością. Zajęcie w fabrykach, gdzie językiem urzędowym jest angielski, zmusza przedewszystkiem do poznania tego języka. Przykład praktyczności i rozsądku Amerykanów, oddziaływanie kultury anglo-saksońskiej, która prześcignęła inne narody, mają magiczny niejako wpływ na przybyszów. Zalety powyższe, które się spotyka na każdym kroku społecznego życia Amerykanów, kaptują dla nich przybyszów, skłaniają ich do przyjmowania zwyczajów i nawyknień miejscowych, asymilują ich z ludnością tubylczą w niezmiernie krótkim czasie. Przybysz z Europy, przemieszkawszy kilka lat w Stanach Zjednoczonych, wstydzi się literalnie mówić językiem ojczystym, a mówienie na miejscach publicznych w języku innym, niż angielski, należy do czynów bardzo źle widzianych w opinii przeciętnego mieszkańca. Drugie pokolenie już rzadko używa mowy i zwyczajów ojców w życiu codziennem, a trzecie — jest zupełnie zamerykanizowane. Nawet w osadach, np. polskich, gdzie przeważnie są Polacy, gdzie szkoła i kościół są polskie, gdzie właścicielami handlów są Polacy, dzieci tych polskich mieszkańców już rzadko kiedy mówią ojczystym językiem, szczególnie gdy przeszły siódmy rok życia.

Wobec tych faktów czyż powinni szowiniści amerykańscy narzekać, że przybysze nie wcielają się w ludność miejscową?

Przyjrzyjmy się teraz drugiej przyczynie, podawanej przez przeciwników wolnego wstępu na ziemię amerykańską. Mówią oni, że istnieje przeludnienie w granicach Stanów Zjednoczonych. Tymczasem cyfry, to nieubłagane świadectwo prawdy, zadają kłam podobnemu twierdzeniu. Widzimy z tabelki poniższej, że przeciwnie — ludność Stanów Zjednoczonych należy do mniej gęstych:

	Obszar mil kwadr.	Ludność	Głów na m. kw.
Stany Zjednoczone	3,602,990	62,622,250	16
Europa	3,555,000	380,200,000	107
Texas	265,780	2,235,523	8
Niemcy	211,108	49,421,064	235
Belgia	11,373	6,060,043	530

Wobec tych cyfr nie mamy nic do dorzucenia w odpowiedzi na pytanie: czy Unia jest przeludniona? O przeludnieniu nie może być nawet mowy. Przy obecnym stanie przemysłu i rolnictwa, Stany Zjednoczone mogłyby, jak to udowodnił poseł Barthold w Izbie — wyżywić 386-milionową ludność, a nie—jak dziś—62 miliony.

Trzecią przyczyną ma być współzawodnictwo przybyszów z tutejszymi robotnikami. Ta jest jedynie uzasadniona, jako fakt, ale nie powinna służyć za powód do ograniczenia napływu, gdyż jest na to lepsze lekarstwo, mianowicie naznaczenie przez władze miejscowe minimalnej płacy roboczej i maksymalnego czasu pracy.

L I S T.

Celina odwiedzała Ninę raz na rok. Z pokojów jej, o spuszczonych wiecznie roletach, bił półmrok ponury i odurzająca woń opoponaksu, coldcremu oraz świeżych kwiatów. Leżąc na kanapie, wśród zwojów koronek, narzekała najczęściej, że męczy ją krzyk dzieci, albo też, ożywiając się, wstawała, aby oprowadzić gościa po wszystkich zakątkach buduaru. Wskazywała tu pluszową bombonierkę, tam piękny hyacynt lub świeże fijołki w pysznym wazonie etruskim, objaśniając z dumą: to od X-a, tamto od Y-a.

— Zakochany we mnie na zabój, wyprawia mi sceny zazdrości; gotów odstrzelić się; oświadcza, że mnie wszystkich — dodawała przytem z uśmiechem zadowolonej próżności.

Miała ambicyę na punkcie podbijania jak największej ilości serc męzkich. Szczyciła się szeregiem wielbicieli, łowionych na wędkę spojrzeń i tajemniczych półsłówek.

— A cóż mąż na to? — pytała Celina.

— Stary safandula: po za swojemi cyframi, rejestrami, stołkami wirującymi i niańczeniem dzieci nic nie widzi. Mogłabym rzucić się przy nim na szyję pierwszemu lepszemu zakochanemu we mnie dudkowi: nie wiedziałby o tem. Zresztą wierzy we mnie, jak w Boga. Dobrze mu z tem. Niech się nie rozczarowywa.

— Czy całe życie masz zamiar flirtować?

Nina podnosiła na Celinę zdziwione oczy.

— A cóż by życie mogło znaczyć bez flirtu? — mówiły czcze, puste, lecz pełne niepochwytnych ogników jej źrenice.

Żegnały się, jedna z niesmakiem, druga obojętnie. Nic ich ze sobą nie łączyło, prócz kilku może wspomnień przeszłości, kiedy Nina, dziewczę szesnastoletnie, jak ptak rozszczebiotane, opowiadała Celinie w długie, ciche, zimowe wieczory przygody z pensyonarskiego swego życia lub wrażenia lat swoich dziecinnych.

Już wtedy była kokietką, ale zamiast odurzającej woni kosmetyków biła od niej szczera, prosta, dziewczęca naiwność, za którą przepadała surowa i poważna Celina.

W kilka lat po ślubie Nina zaczęła narzekać na męża.

— Zaniedbuje mnie; nie chodzi ze mną nigdzie. Skąpy. Wszystkiego mi żałuje. Kilka razy zrobił mi scenę, że więcej dbam o stroje swoje, niż o zdrowie dzieci. Takie pożycie niemożliwe. Ten człowiek zabija, zamęcza mię. Pierwszego lepszego dnia ucieknę od niego...

W tym czasie zaczął odwiedzać ich przyjaciel Wacława, najbogatszy z doktorów w mieście. Okazując Ninie na każdym kroku względy światowca, jakim nigdy nie był ciężki, zapracowany Wacław, zasypując ją szeregiem drobnych uprzejmości, schlebiając czczej ambicyi jej i dumie, coraz bardziej pociągał ją ku sobie.

Głośno już mówiono na mieście o romansie pięknej Niny z doktorem, gdy Wacław, nie domyślając się jeszcze niczego, zastał go kiedyś późnym bardzo wieczorem w buduarze żony.

Żądając wytłomaczenia, usłyszał, iż Nina uważa się za narzeczoną doktora, co właśnie nazajutrz miała mu oznajmić.

Sprawa rozwodowa toczyła się już od trzech miesięcy. Nina żądała, aby dzieci zostały przy niej. Wacławowi zdawało się, że nie przeżyje chwili, w której odebranoby mu choć jedno z nich.

I oto dziś po raz trzeci prosił Celinę o wydanie mu listu żony, mającego rozstrzygnąć jego losy, a ona wciąż odmawiała uparcie.

— Nina była moją przyjaciółką; nigdyś nie miała jednej skrytej myśli przede mną...

— Dzieci, moje dzieci! — jęczał, szlochał Wacław.

Naraz zerwał się. Oczy jego zaświeciły fosforycznym blaskiem. Po twarzy przebiegł wyraz niezłomnej stanowczości.

— Dotąd błagałem panią — rzekł podniesionym nieco i mocno rozdrażnionym głosem. Teraz sam sobie poradzę. Trzy noce nie śpię już, myśląc, jakim sposobem przełamać upór pani. Dosyć już tego. Sumienie mam czyste. Wiem, że bronię dobrej sprawy. Pani chodzi o jakieś czcze, niedorzeczne skrupuły, mnie zaś o ocalenie czterech istot, które zginą w ręku martwej, bezdusznej lalki. Nazwij mię brutalem. Niech świat cały potępia mię i obmawia. Walczę o dobrą sprawę: wiem o tem. To mi sił dodaje...

I zerwawszy się z miejsca, jednym skokiem dobiegł do biurka.

Wówczas konkurencya robotników zniknęłaby i nawet ci, którzy dziś nie znajdują pracy, dostaliby ją. Ale prawodawcom, zadowolonym z panującego systemu, nie zależy tyle na dokładnem załatwieniu danej sprawy, ile na wynalezieniu frazesu, któryby zdawał się być rozwiązaniem kwestyi.

Co do czwartej przyczyny, to głosi ona, iż w ostatnich latach coraz większy napływ niepożądanych ludzi z Europy jest widocznym.

Co prawda, to i w dawnych czasach przybywali do Stanów Zjednoczonych ze starego lądu ludzie skompromitowani i źli, a nikt nie przemawiał za ich wyrzuceniem, jeśli stosowali się do praw miejscowych. Dopiero teraz, po trzech wiekach wychodźtwa, przeciwnicy imigracyi znajdują, iż niepożądani przybysze zjawiają się na lądzie Stanów Zjednoczonych, podczas gdy statystyka wykazuje, że we wszystkich krajach starego lądu liczba przestępców kryminalnych zmniejsza się, a oświata i łagodność charakterów wzrastają.

Nie są to więc cztery prawdziwe przyczyny, które skłoniły prawodawców Stanów Zjednoczonych do ograniczenia napływu ludności obcej. Chęć przeciwdziałania w tej mierze powstała skutkiem obecnego systemu wytwarzania. Dotychczas produkcya przemysłowa i rolna potęgowały się tylko w miarę przypływu nowych rąk roboczych. Te zaś były podstawą wszelkiego wytwarzania, na nie tylko liczono i przypływ ich był dobrze widziany w oczach posiadaczów kapitałów tudzież władz stanowych i federalnych, będących wyrazem pojęć mieszczańskich i fermerskich. Od chwili jednak, gdy maszyna zaczęła coraz więcej zastępować siłę ludzką, gdy przemysł i rolnictwo amerykańskie oparły swą potęgę nie na rękach najmitów, ale na udoskonalonym mechanizmie, na ujarzmionych siłach przyrody, wówczas stał się zbytecznym nietylko przypływ nowych obcokrajowców, ale powstała już i pośród samych obywateli amerykańskich armia niezajętych pracą najmitów, rąk „zbytecznych,“ rosnąca ogromnie z rokiem każdym. W takiem położeniu prawodawcy chwycili się jedynego w ich pojęciach środka zaradzenia złemu: uznali za zbawienne zatamowanie przypływu, ograniczenie prawa swobodnego przybywania na ziemię Stanów Zjednoczonych.

Gdy myśl ta weszła na porządek dzienny obrad, zjawiło się naturalnie pytanie: jakim mianowicie emigrantom wzbronić przystępu do lądu amerykańskiego? Otóż obrady i zagłosowanie podanego na wstępie bilu pokazują, że kozłami ofiarnymi tego zakazu padną Włosi, Polacy i Węgrzy w przeważnej liczbie. Bil wyraźnie powiada, że nieumiejący czytać i pisać przynajmniej w języku własnym, nie będą mogli się osiedlać w granicach Stanów Zjednoczonych. Otóż największy procent analfabetów znajduje się pomiędzy wychodźcami trzech powyższych narodowości. Przyjrzyjmy się jednak danym statystycznym. W jednym roku, od 1 lipca 1894 do 30 czerwca 1895 przybyło 250,342 obcokrajowców do Stanów Zjednoczonych. Z tej liczby przypada na każdą narodowość:

Czechy	1,973	Rosya	33,282
Galicya	4,324	Finlandya	2,676
Austrya	11,892	Hiszpania	501
Węgry	15,206	Szwecya	15,361
Belgia	1,058	Szwajcarya	2,239
Dania	3,910	Turcya eur.	245
Francya	2,628	Anglia	23,443
Niemcy	32,173	Irlandya	46,304
Grecya	587	Szkocya	3,788
Włochy	35,427	Walia	1,602
Holandya	1,388	Różne	24
Norwegia	7,581		
Portugalia	1,452	Razem . . .	250,342
Rumunia	523		

Na każdą z wymienionych narodowości w powyższem zestawieniu przypada następujący procent analfabetów:

Narodowość:	% analfabetów:	Narodowość:	% analfabetów:
Portugalia	67,25	Węgry	37,69
Włochy	52,93	Austrya	32,70
Galicya z Bukowiną	45,68	Grecya	25,18
		Rumunia	17,75
Belgia	15,22	Anglia	3,49
Turcya europ.	14,79	Holandya	3.38
Walia	10,13	Szkocya	2,83
Czechy i Morawia	8,98	Niemcy	1,09
Hiszpania	8,71	Norwegia	1,02
Irlandya	7,27	Szwecya	0,73
Finlandya	3,58	Szwajcarya	0,60
Francya	3,50	Dania	0,49

Z tego widać, iż egzamin z czytania i pisania przy wylądowaniu na ziemię Stanów Zjednoczonych nie zmniejszy przypływu z krajów takich, jak Wielka Brytania, Niemcy, Skandynawia, natomiast zmniejszy się do minimum z krajów południowych i słowiańskich. Zatem życzenia przeciwników imigracyi, aby zatamować przyjazd przybyszom niepożądanym, jak: Polakom, Węgrom, Włochom, Portugalczykom, będą nowym bilem zaspokojone. Przeszedł on już Izbę posłów 195 głosami przeciw 26, a uprawnienie go jest kwestyą bardzo niedalekiej przyszłości.

A. F. Kowalski.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

BŁĘDNE DROGI.

Astrachanskij Listok podał w tych dniach następującą wiadomość: „Nasz utalentowany dyrektor P. zupełnie opuszcza karyerę artystyczną i przenosi się na posadę akcyznika do jednej z gubornij syberyjskich. Powodem zmiany profesyi są ciężkie warunki materyalne na ciernistej drodze teatralnej. Dodać musimy, że p. P. otrzymał wyższe wykształcenie: skończył wydział lekarski.“ W tych kilku słowach reporterskich mieści się znamienny rys dzisiejszych warunków bytu i ich urządzeń. Człowiek po kilkunastu latach pracy zdobywa fach lekarski i snadź nie może za jego pośrednic-

---

— Tu, tu jest list ten — dodał, wskazując jedną z filigranowych, otwartych do połowy szufladek.

— Widziałem go wczoraj, gdy, wahając się między tem, co nazywasz skrupułami sumienia a dobrą wolą swoją, sięgnęłaś po niego, chcąc mi go wręczyć... Cofnęłaś się... Dziś ja sam wyrwę go z rąk twoich... Będziesz pani miała sumienie czyste... Zaśniesz spokojnie... Powiesz światu i ludziom: „Wyrwano mi go!.. Opierałam się, nie chciałam... Przemoc zwyciężyła...“

Celina skoczyła.

— List ten jest moją wyłączną własnością; mogę go dać lub nie: wyrywać go z rąk moich nie masz pan prawa...

Rozpoczęła się walka: ona, stanąwszy przed biurkiem, zasłoniła sobą wysuniętą już zupełnie szufladę z listem w pachnącej, różowej kopercie; on siłą starał się odciągnąć ją stamtąd. Opór jej i zręczność zwyciężały wszakże: ilekroć chwytał jej ręce, wysuwała mu je z dłoni przemocą i nie ruszała się z miejsca.

Kilka minut trwała niema, głucha szermierka. Wacław wreszcie odstąpił pierwszy. Znużony, dysząc ciężko, padł na krzesło, a po chwili, zasłoniwszy oczy rękami, zaczął płakać.

Przez łzy, łkaniem stłumione, wyrywały się z piersi jego słowa:

— Dzieci moje, dzieci, dzieci!..

Od trzech miesięcy nie jadł, nie spał prawie, zaniedbywał się w pracy, pilnując, aby mu ktoś z rodziny żony nie uprowadził czterech maleństw, stanowiących cel jego życia...

— *Ona* tęskni i płacze za niemi — mówiono mu ze wszystkich stron.

Być może, iż na chwilę ożyło w niej serce, ale czy kiedykolwiek zdoła je pokochać tak, jak on je kocha? Zresztą, kto jest w stanie zaręczyć, że łzy te są prawdziwe, nie na złagodzenie opinii świata obrachowane? Czy matka, która dla kochanka ryzykuje dzieci, ma prawo nosić miano matki? Czy on wyrzekłby się ich dla jakichkolwiek względów?

Nigdy, przenigdy!

Nosił przy sobie rewolwer i flaszeczkę z trucizną: z chwilą, w której zmuszonoby go do wyrzeczenia się dzieci, odebrałby sobie życie... Nie pojmował istnienia bez nich...

Celina wiedziała o tem, a pomimo to tak bezlitośnie odmawiała zadośćuczynienia jego prośbie.

Czy to nie było czczą, suchą, szkolarską zatwardziałością serca?

— Dzieci moje, dzieci! — wołał przez łzy, na pół przytomny, nie wiedząc prawie, gdzie jest i co się z nim dzieje, drżąc cały, jak w febrze.

Długa chwila minęła, zanim wrócił do równowagi.

Podniósłszy się z miejsca wówczas ciężko, poszedł do Celiny i, podając jej rękę, rzekł suchym, matowym, zdławionym głosem:

— Przepraszam za gwałt, jakiego chciałem dopuścić się na świecie strzeżonej tajemnicy pani... Cierpienie odbiera rozum... Oby pani nigdy nie zaznała go w tym stopniu!.. Dziś... tylko siła wyższa może ulitować się nademną... Jakieś zrównoważenie męczarni bez winy musi tu być na świecie...

Skurcz nerwowy schwycił go za gardło: nie mógł mówić dalej. Drżącą ręką uścisnął rozpaloną, chwiejną dłoń Celiny i wybiegł z pokoju.

Ze schodów zwrócił go głos służącego:

— Pani prosi jeszcze na chwilę.

W progu salonu, rozgorączkowana, pełna tej męczącej wewnętrznej wibracyi, jaką wywołuje w nas zdecydowanie się na sprzeczny z etyką własnych poglądów postępek, Celina podała mu kopertę z wonnym różowym, gęsto zapisanym arkusikiem papieru.

Schwycił jej ręce, okrył je pocałunkami. Pół przytomny, powtarzał:

— Dzieci moje, dzieci! Nikt mi was nie odbierze... Pani moja, droga, dobra pani!.. Ach, tak, dzieci, dzieci...

Całował jej ręce, puszczał je i znowu chwytał, całował. Wreszcie, jak szalony, z listem w ręku zbiegł ze schodów.

Celina długi czas siedziała na krześle przed biurkiem swojem nieruchomie. Chwilami wstrząsała głową nerwowo na znak wewnętrznego niezadowolenia, to znowu składała usta w lekki, blady uśmiech, mówiący:

— Dobrze zrobiłaś: tak tylko, nie inaczej powinnaś była postąpić. .

Chmurny cień jednak osiadał na czole jej coraz głębiej..

Czuła się winną wobec byłej przyjaciółki. Nigdy dotąd nie nadużyła niczyjego zaufania. Świat mógł ją potępić.

Czy zasługiwała na to?..

C. Walewska.

twem zapewnić sobie istnienia materyalnego, o drodze zaś, jaką zaleca Jullien w swym obrazku (nr. 27 *Prawdy* „Wieczysta"), nie wiedział wcale, więc próbuje szczęścia w zawodzie aktorskim. Miał talent, lecz widocznie znalazł się śród ludzi nie odczuwających potrzeb po za granicami bytu materyalnego, nie chciał zaś przystosować się do ich poziomu i instynktów, więc pogardził jeszcze jednym sposobem utrzymania: cyrkiem. Wolał pewną karyerę — urzędnika akcyzy, mającą tę wyższość nad profesyami wyzwolonemi, że tworząc z rozumnej, światłej istoty ludzkiej automat, daje jej pewny i stały zarobek.

Drobny szczegół, podany w wiadomościach codziennych gazety, utkwił nam w pamięci i wywołał rozmyślania — smutne. Zajrzyjmy do głębin życia powszedniego w naszem społeczeństwie, a znajdziemy bardzo wielu takich panów P., którzy najpiękniejsze lata młodości, największą sumę energii strawili na mozolnej nauce gimnazyalnej i uniwersyteckiej, częstokroć śród niedostatku, niedoli, za ostatni grosz rodzicielski, zaoszczędzony na niezbędnych potrzebach życia lub wydobyty z trzosu lichwiarskiego. Znamy lekarzów, którzy trudnią się handlem drzewa i niegorzej im się wiedzie, więc kpią z medycyny; inni, którzy obrali tę samą dziedzinę pracy, szukają posady kontrolerów lub buchhalterów; niedawno znowu pisma doniosły o jakimś lekarzu, który zbrzydził sobie swój zawód i udał się na praktykę — do ogrodnika. Wszystkie tego rodzaju fakty są smutnym objawem marnowania sił jednostek z dotkliwą szkodą społeczną.

Nieraz we wspomnieniach pozgonnych i wogóle w rozpamiętywaniach publicystycznych mówiono o zmarnowanych siłach innej kategoryi: talentach i zdolnościach literackich skutkiem ciężkich warunków bytu, nienormalnego i gorączkowego życia w młynach dziennikarskich i ich otoczeniu. Może czasem w tych utyskiwaniach i westchnieniach była przesada, może za wiele obiecywano i wróżono niezwykły rozwój umysłom miernym; z paru iskier niespopielonych spodziewano się wielkiego zarzewia talentu i jego twórczości. Faktem atoli jest niezbitym, że siła i energia umysłowa marnuje się u nas nietylko w dziennikarstwie, ale we wszelkich dziedzinach pracy umysłowej, twórczej, nietylko w czasie dojrzewania i dojrzałości, lecz i w zarodkach, od wychowania w domu i okresu szkolnego. Społeczeństwo nasze nie jest ubogie w jednostki dzielne, obdarzone wielkim zasobem zdolności, ułatwiających rozszerzanie widnokręgów własnej umysłowości i rozsiewanie swych zdobyczy śród ogółu.

Ale te zdolności i talenty w walce z nieprzyjaznymi warunkami ścierają się w znacznej części. Nasi uczeni i badacze dają tylko odsetki swej produkcyi duchowej, której główne owoce rozpraszają się w pracy uciążliwej. Energia tej gromadki, jak siła, poruszająca motory z daleka, musi przebiegać znaczną przestrzeń przez pasy transmisyjne warunków materyalnych tudzież społecznych i tracić po drodze to, co jest najcenniejsze. Ci, którzy mogliby być niepospolitymi badaczami przeszłości, rozporządzającymi pełnią światła krytycznego, zostali prostymi monografistami, protokólistami, zbieraczami faktów, kronikarzami, przywiązującymi wielką wagę do drobiazgów, niemających żadnego znaczenia. Ci, którzy mogliby stworzyć pomnikowe dzieła różnych gałęzi nauki, muszą się oddawać automatycznej pracy zarobkowej i tylko trochę czasu, zbywającego na wypoczynek, kradną, ażeby go poświęcić przedmiotom umiłowanym. Muszą wytężać swą energię, walczyć ze znużeniem, wyrzekać się wszelkich przyjemności i wytchnienia, ażeby po latach wielu dać ogółowi cząstkę wymarzonej całości lub całość szkicową.

To piętno szkicowości nosi wiele dzieł z naszej literatury naukowej. Ale pomimo to, ich autorowie zasługują na podziw i wielkie uznanie. Im to właśnie należałaby się pomoc do ułatwienia pracy płodnej i pożytecznej; bo oni nie zawiedliby oczekiwań jako oddani nauce z zupełnem zaparciem się i wyrzeczeniem potrzeb nieodbitych; gdy w rzeczywistości bywa inaczej: otrzymują ci, którzy dają rzeczy błahe lub mające znaczenie dla nielicznej garstki miłośników nie światła i nauki, lecz drobnych szczegółów. To też mamy owoce tak mozolnej pracy, jak np. obliczanie wierszy starego dzieła, opisy okładek pierwszego egzemplarza, tracenie lat całych nad wyszukaniem prawdziwej daty napisania *Zwierzyńca* lub innego utworu Reja.

Jest pewna kategorya piszących, którzy sami mówią o marnowaniu swych sił i zdolności na prace drobne, lecz w gruncie rzeczy są leniwi do większych. Twierdzą oni, że gdyby im dano sposób istnienia, poświęciliby się całkowicie piśmiennictwu poważnemu. Nieprawda! Nie mając żadnego bodźca — oddaliby się bezwzględnemu próżniactwu. Potrzeby materyalne i opędzanie ich piórem — to wielki bodziec do pracy umysłowej. U nas minęły to czasy, w których kwitła literatura, zbudowana z pracy bezinteresownej przez głodnych i ubogich. Na to mogli się zdobyć jeszcze niedawno Chorwaci, których ubodzy pisarze stworzyli „Maticę" i za jej pośrednictwem wznieśli piękny gmach bogatej literatury.

Marnowanie sił jest wogóle cechą wszystkich narodów cywilizowanych. U jednych wszakże stanowi to objaw prawie niedostrzegalny, u innych daje wielkie odsetki. Przyjrzyjmy się uważnie naszym warunkom, a dostrzeżemy to zjawisko w wielu dziedzinach pracy, w zabiegach około stworzenia podstaw bytu młodzieży za pośrednictwem szkoły. Trzeba rodziców bardzo światłych, wyjątkowych, szeroko i poważnie pojmujących zadania pedagogii, umiejących zajrzeć do głębin psychologicznych dziecka, niemal odczuć i pochwycić błyski jego zdolności w tym lub innym zakresie, ażeby nie spaczyć go, nie wykolejć jako członka społeczeństwa. W większości atoli dzieje się, niestety, inaczej.

Wyszukiwanie jednak zarodków niepospolitych talentów w masach jałowych jest zadaniem, przynajmniej w obecnych warunkach, niedoścignionem. Te embriony umysłów, które urosłyby wysoko po nad tłumy, dałyby im nowe zdobycze wiedzy, owoce swej twórczości, stałyby się podnietą duchową dla mas — giną niepoznane i nieodnalezione; czasem pełgają w istotach, skazanych na pracę codzienną, automatyczną. Nie są to owe maniaki, talenty zapoznane, które dały obfity materyał humorystom-pisarzom i rysownikom. To są duchy uwięzione w bryle cielesnej, w postaciach wołów z naczelnikami, nałożonymi im na głowy przez szczególny układ warunków bytu. Probierz dla rozpoznawania ich i skierowywania na właściwą drogę, można byłoby znaleźć tylko w jakiemś idealnie doskonałem i światłem społeczeństwie, z organizacyą szkolną zupełnie odmienną od wszelkiej innej, panującej dziś na całym obszarze świata cywilizowanego, którąby kierowali ludzie uprawiający pedagogię z powołania, obdarzeni nietylko „talentem etycznym," ale i niepospolitą zdolnością psychologiczną, darem rozpoznawczym. Szkoły takie, przystępne dla całych mas, powinny posiadać oddziały „probiercze," za których pośrednictwem można byłoby wynaleźć i następnie rozdmuchać iskierki zdolności i talentów w pewnym zakresie, — słowem stworzyć cieplarnie umysłowe dla wyrabiania tej wielkiej energii intelektualnej, któraby przyśpieszyłaby rozwój, doskonalenie się, a więc i szczęście społeczne.

Ponieważ taki obraz musi pozostać na długo w sferze nietylko marzeń, ale — majaczeń, więc zwróćmy uwagę na inne zjawisko, pochwytniejsze dzisiaj w życiu rzeczywistem: na te przyczyny, tworzące z lekarzy lub artystów — urzędników akcyzy, handlarzów i ogrodników; z matematyków: urzędników bankowych lub oficyalistów prywatnych; z chemików: subjektów handlowych; z filologów lub farmaceutów: urzędników kolejowych itd. Przedewszystkiem ważną tu rolę gra nienormalność warunków podaży i popytu na rynku pracy umysłowej i mięśniowej, następnie — ogólna dążność zdobycia jakiej takiej posadki, chociażby najbardziej gwałcącej godność osobistą, ale przynoszącej stałą pensyjkę bez zabiegów, ryzyka i znacznego wysiłku — tych warunków, jakie pociąga za sobą wszelka praca samodzielna, niezależna. Wreszcie podłożem tych smutnych, niepożądanych zjawisk jest zależny od opiekunów system wychowania dzieci i zakorzenione przesądy w społeczeństwie względem *godziwej* lub *nie — godziwej* pracy.

Ta „godziwość" i „nie—godziwość" zupełnie opacznie jest pojęta: Wielu ojców i matek nie może się pozbyć tego przesądu, że praktyczny kierunek kształcenia w szkołach fachowych średnich, a nawet i wyższych, nie jest „upośledzeniem społecznem," lecz przeciwnie — sposobem zdobycia placówki „godziwej," bo przynoszącej pewną niezależność i częstokroć ochronę przed pogwałceniem godności ludzkiej. Gdy tymczasem ów cel marzeń większości — wykształcenie gimnazyalne i uniwersyteckie — wtrącający częstokroć w nędzę i rozpacz bezgraniczną wychowawców — przynosi nieraz ból, rozczarowanie i wykolejenie ich synom, którzy nie mając ani zdolności, ani powoła-

nia do narzuconej dziedziny pracy, cofają się z połowy drogi szkolnej lub przebywszy ją całkowicie, wstępują ze wstrętem w szranki zapasów życiowych. Jeżeli zaś wogóle nie uda się im przekroczyć progów gimnazyalnych lub uniwersyteckich, wtedy — dostawszy się do jakiejś szkoły średniej specyalnej, w gruncie rzeczy odpowiedniej dla nich, z żalem patrzą na mundury studenckie, a z goryczą na swój przyszły zawód, pomimo, że ani usposobienie, ani zdolności umysłowe nie pozwoliłyby im urzeczywistnić marzeń, rozbudzonych przez atmosferę domową, przesyconą tym szczególnym arystokratyzmem wychowawczym, który jest szlachetną aspiracyą, o ile nie ma na względzie — karyery błyskotliwej, ale jednocześnie — czynnikiem, wywołującym niepowodzenie, apatyę, niezdarność licznych szeregów młodzieży, pracującej automatycznie, z przymusu i częstokroć — nieprodukcyjnie. Wobec takich warunków, jakie są, ów arystokratyzm wychowawczy nie pożytek, lecz szkodę przynosi społeczeństwu.

DZISIEJSZY STAN WIEDZY

III.

Zrzeszenie, oparte na zasadach wzajemności dobrowolnej, rzecz to arcypiękna, ale jednocześnie jest to ideał nie do osiągnięcia dla wszelkiego rzemieślnika, zarówno dla siedzącego na zydelku nad dratwą, jako też pracującego nad odkryciem nowych prawd. Niezdolność do subordynacyi nawet dobrowolnej i nieumiejętność zespolenia wysiłków, które tak charakteryzują majsterków, występują wśród przedstawicieli nauki jeszcze jaskrawiej. Król hanowerski wyrzekł, że najłatwiej można kupić poglądy uczonego i wdzięki nierządnicy. Rzemieślnika na polu nauki można i pod innymi względami porównać z kobietą: w drobnostkowości i zazdrości. Historyk, kierujący przypuśćmy archiwum, może z pewnych dokumentów urządzić sobie siedzenie, byleby ktoś inny, nawet nie jego współzawodnik, nie natrafił przypadkowo, w swoich poszukiwaniach, na ten materyał. W świecie uczonych niema owej szczodrości i hojności, która jest właściwa cyganeryi literackiej, rozrzucającej perły dowcipu i uczucia, jak gdyby to były plewy, niema marnotrawstwa dyletantów, którzy rozdają skarby swojego umysłu, jak gdyby posiadali niewyczerpaną kopalnię kruszcu duchowego. Uczony, ten specyalista od owadów lub etylów, od zacieśnania się, co rozumiał Kant pod pewnym terminem, jest ubożuchny duchem, choć ducha obrał sobie za specyalność — nie dlatego, że jest specyalistą, ale ponieważ umysły wrzące, buntownicze, niespokojne rzadko są zdolne pokutować nad gromadzeniem drobiazgów. Myśl jego nie rozpryskuje się tysiącem iskier, nie wybucha uogólnieniami, ale ślimaczo wysnuwa z siebie parę wątków. Każda ręka, pracująca w pobliżu, może niebacznie lub umyślnie zerwać któryś z nich...

Tak, asocyacya dobrowolna jest rzeczą arcypiękną, ale nie dla dzisiejszego specyalisty, który nie dorósł do solidarności. Na to trzeba innych ludzi, przedewszystkiem zaś innych widnokręgów dokoła. Zrzeszenie takie zadrga pełnem życiem, wyda z siebie wszystkie owoce, stanie się formą powszechną, może nawet zamieni się na jednostkę ustroju społecznego, taką jak gens za rodowości i gmina w społeczeństwie teryteryalnem, tylko wtedy gdy wszelka produkcya, a więc i dóbr materyalnych, oprze się na solidarności współdzielczej, słońce zaś wiedzy swojem złotem i purpurą będzie przetykało nietylko wierzchołki społeczne, ale rozświetli niziny.

Istnieje jeszcze inna przeszkoda.

Tam, gdzie na dziesięć milionów mamy zaledwie parę dziesiątków tysięcy osób z wyższem wykształceniem, gdzie w dalszym ciągu pośród tego zastępu tylko pewna bardzo nieznaczna część posiada aspiracye duchowe i jeszcze mniejsza może uczynić zadość tym popędom swojej jaźni, tam nawet braknie kandydatów, przynajmniej w pewnych zakresach pracy naukowej. Mimo naszego przywiązania do antyków, Estreicher nadaremnie może poszukiwałby grona, któreby pospołu z nim podjęło pracę bibliograficzną: gdyby zaś znaleźli się tacy amatorowie, to warunki, właściwe ustrojowi teryteryalnemu, rozpraszają ich w przestrzeni i robią solidarność praktycznie niemożliwą. Dopiero naówczas gdy zamiast dziesiątków miliony będą mogły rzec o sobie, że jesteśmy ludźmi, tj. interesy i zagadnienie wiedzy nie są nam obce, gdy z pośród tych milionów wyjdą setki tysięcy biologów i tysiące takich mólów, jak zbieracze starych foliałów, tam dopiero w zakresie każdej gałęzi wiedzy znajdzie się dostateczna gromadka do podjęcia pracy, chociażby najżmudniejszej. Bibliografia Estreichera będzie dziełem paru kwartałów, nauki przyrodnicze będą postępowały krokiem bohatera legendy, który włożył na nogi buty-samochody i gdy stąpił, robił mil siedem. W tym okresie swojego rozwoju—hypotetycznym — nauka bez szkody dla siebie rozstanie się ze specyalizacyą, dzisiejszą i uczony będzie szczycił się, że przedewszystkiem jest filozofem, później zaś pracownikiem na pewnej specyalnej niwie. Bibliograf, w spółce solidarnej, obróciwszy lat parę życia na uczynienie zadość swoim skłonnościom antykwarskim, może weźmie się do układania innego inwentarza: skrawków mózgu lub kolekcyi owadów. Biolog, zachowywując bezustannie czucie z wszystkiemi dziedzinami żywej, organicznej przyrody, będzie przerzucał się z jednej specyalnej grupy do drugiej, bez najmniejszej szkody dla postępów samej wiedzy. Umysły lotne, pełne inicyatywy i instynktów buntowniczych, takie, które dzisiaj marnują się jako dyletanci, będą duszą i natchnieniem tych zbiorowych jaźni naukowych, dzisiejsze mole staną się wykonawcami, sumiennymi i drobiazgowymi. Nauka zużytkuje w harmonii wzajemnej wszelki temperament, ocali od zmarnotrawienia się tych, którzy obecnie grzęzną w dyletantyzmie i „filozofii,“ jako też zniesie idyotyzm specyalistów, sprzęgając oba typy w syntezie organizacyjnej. Wykształcenie ogólne, filozoficzne będzie warunkiem uczoności, przynajmniej będzie jej ton nadawało.

Ta opoka zrzeszenia współdzielczego w nauce dokona jeszcze innej wiekopomnej pracy: zniesie szacunek dla książki i zniszczy tradycyę przeszłości, która ciąży jak zmora nad oryginalnością dalszych pokoleń w postaci bibliotek.

K. R. Żywicki.

PAMIĘTNIK.

Nowy gatunek ludzi.

Wówczas nawet, kiedy bicykle zaczęły się szybko rozpowszechniać, nie można było przewidzieć, jakie z nich wypłyną skutki — hygieniczne, ekonomiczne, moralne itd. Dziś, gdy już rower nietylko owładnął światem jako sport, ale dostał się w szpony wielkiego kapitału jako spekulacya, skutki te występują coraz wyraźniej. Między innymi stworzył on nowy gatunek ludzi — wyścigowców zawodowych, rodzaj koni wyścigowych, którzy stanowią w rękach fabrykantów maszyn do jazdy rodzaj stajni. Przemysłowcowi chodzi o to, ażeby marka jego wyrobów miała rozgłos i pokup, więc utrzymuje i opłaca „profesyonistów,“ którzy zdobywając nagrody na jego rowerach, zyskują mu nabywców. Taki profesyonista tylko postacią biegu różni się od konia, zresztą jest do niego upodobniony pod każdym względem: ma bowiem swoją „formę,“ „klasę,“ jest „trenowany,“ znajduje się w dobrej lub złej „kondycyi,“ służy za przedmiot zakładów i gry w totalizatora, należy do kogoś, który według swoich wyrachowań puszcza go na pewne tory i każe mu zdobywać pewne nagrody, a zabrania innych, przechodzi z rąk do rąk jak folblut — słowem, jest cząstką, a nieraz ozdobą „stajni wyścigowej.“ Warto, ażeby czytelnik przejrzał bodaj kilka numerów warszawskiego *Cyklisty* (ostrzegamy przed jego słownictwem geograficznem), a ze zdumieniem pozna nowy świat nowych istot, które powołał do życia bicykl, a zarazem spostrzeże, jak wielki kapitał wycisnąć może swe znamienne piętno i na tej niewinnej rozrywce. Nasze „Towarzystwo cyklistów“ broni jeszcze w sobie charakteru stowarzyszenia amatorów, ale i w niem już zaczynają przebijać się dążenia do wejścia na drogę stajen wyścigowych, którym idzie nie o uprawę sportu miejscowego, lecz o zdobywanie zaszczytów i nagród kosmopolitycznych. Już dziś po trosze ono jest, a wkrótce będzie o tyle warszawskiem, o ile stajnia p. Grabowskiego jest serniską, a p. Reszkego borowińską. Igła magnesowa bowiem jego pragnień zwraca się ciągle w kierunku najrozmaitszych „mistrzostw“ i „Derby.“ A jeżeli dotąd nasi laureaci nie wystąpili na szerszej arenie, to tylko dlatego, że im jeszcze nie pozwalają... nogi.

Dola nauczycielek.

Dola ich osławiona, głośna, niejednokrotnie już się odbiła echem współczucia śród lepszej cząstki społeczeństwa, niejednokrotnie śród niej gorycz i oburzenie wywołała. Nauczycielka, szczególnie wędrująca po prowincyi, jest istotą najbardziej narażoną na poniewierkę, podeptanie godności i praw człowieczych, najbardziej znieważaną i policzkowaną moralnie na każdym kroku, najbardziej bezsilną i najmniej obronną wobec pogardy i wyzysku. Daje ona to, co może dać najlepszego młodej latorośli śród burżuazyi i filisteryi społecznej: trochę światła i serca. W zamian za to otrzymuje zimny pieniądz, owinięty w zniewagę. „Zapłacona“ niemal tyle znaczy, co „kupiona.“ Ponieważ jest przyjęta do domu, częstokroć sypia w jednym pokoju ze swomi pupilkami, więc musi nad niemi czuwać i we dnie i w nocy, pilnować, ażeby zasnęły spokojnie i „przyzwoicie,“ ażeby się zbudziły na czas i wedle przepisów „wychowania,“ ażeby wzorowo zjadły śniadanie, wzięły się do lekcyi, poszły na spacer, spożyły podwieczorek i kolacyę; ażeby przy stole zachowywały się wedle przepisów kodeksu towarzyskiego. Nauczycielka ma całkowicie zagwożdżoną niemi głowę i we śnie i na jawie; zrywa się w nocy, ażeby zobaczyć, czy śpią spokojnie, czuwa w dzień nad każdym ruchem i słowem. Niema dla siebie kąta osobnego, chwilki jednej na rozmyślanie niezależne, wypoczynek, lub czytanie. Dobrze, jeżeli choć sztywnie, lecz „przyzwoicie“ i względnie grzecznie jest traktowaną, jeżeli po za pracą pedagogiczną nie jest na nią wkładana żadna inna rola. Wyjątkowo zali-

czana bywa „w poczet rodziny," otaczana serdecznością nieklamaną.

W większości wypadków dzieje się inaczej: Bywają takie fakty, które należy podawać jako ostrzeżenie publiczne. Oto jeden z wielu, zasługujący na ujawnienie: Do Falenicy, ogniska letnich mieszkań przy kolei Nadwiślańskiej, rodzina przemysłowca sprowadziła sobie nauczycielkę, którą odrazu po przybyciu na miejsce wzięto nietylko w niewolę, lecz pod każdym względem zaliczono do kategoryi sług: Nie wolno jej było nawet w pokoju wieszać swego ręcznika, kazano umieszczać go w kuchni; nie wolno było czytać, ani też na chwilę zniknąć z oczu „pani domu." Nie miała prawa w niedzielę udać się na parę godzin do krewnych, mieszkających w pobliżu. Obrzucana na każdym kroku zniewagą, którą zwykle najhojniej szafują ludzie z drobnomieszczańskich sfer dorobkiewiczów, musiała wreszcie po tygodniu męk i obelg porzucić swoją pracę niewolniczą. Zapłacono jej akuratnie za tydzień i akuratnie wytrzymano do tej godziny, o której przed tygodniem przyjechała. Takie znamienne fakty będą się zdarzać ciągle, póki nie powstanie u nas racyonalne pośrednictwo zamiast obecnych kantorów stręczeń, mających tylko spekulacyę na celu. Pośrednictwo takie powinno się opierać na obustronnem sumiennem badaniu stosunków. Dotychczas tylko zarobkodawcy żądają danych, dotyczących uzdolnienia i konduity nauczycielek. Jest to całkiem słuszne wymaganie. Ale należałoby również skrupulatnie badać wartość moralną zarobkodawców. Zapewne — przyczyną wzajemnej goryczy i niechęci między zarobkodawcami i nauczycielkami bywa nieraz brak odpowiednich kwalifikacyj ze strony pracownic lub ich temperament, pozostający w wiecznej rozterce z niewłaściwym rodzajem pracy. Ale to w całej tej dziedzinie daje znacznie mniejszą sumę faktów i — łatwiejszą możność unikania tych rozczarowań i zawodów.

Spekulacya podmiejska.

O ile lud bywa niezaradnym zdala od ognisk przemysłowych i wielkomiejskich, o tyle znowu w pobliżu tych ognisk stał się rzutkim i przedsiębiorczym. Pod wpływem warunków kulturalnych i ekonomicznych wytworzył się w ciągu dwu ostatnich dziesiątków lat odmienny typ spekulanta, nieprzebierającego w środkach; szczególnie zaś zdolności i energię w tej mierze wyrobił śród ludu napływ mieszkańców miejskich pod strzechy chłopskie na wypoczynek letni. Właściciele lichych i ciasnych chałup dostrzegli u mieszczuchów nieprzepartą chęć posiadania własnego kawałka ziemi, więc zaczęli na wypłaty sprzedawać swoje... szczere piaski, z których sami najmniejszego pożytku nie mają. W jaki zaś sposób odbywają się te tranzakcye, opowiedzmy według spostrzeżeń pewnego znawcy tych stosunków: Raty są rozłożone zwykle na 20 miesięcy przy zaliczce 10 rubli na 10,000 łokci kwadratowych. Kwota miesięcznie uiszczana — niewielka 5 rs., więc nawet pracownik, pobierający skromną pensyjkę, może marzyć o *własnej* ziemi. Po 20 miesiącach stanie się on właścicielem $^{2}/_{3}$ morga piasku. Ale co z nim dalej zrobi? — Trzeba zabudować. Lichy domek o czterech pokoikach kosztuje najmniej 1,200 rs., nie licząc mniejszych niezbędnych budowli. Piasek nabyty trzeba zadrzewić, pod sadzonkę wykopać znaczny dół i zapełnić go dobrą ziemią, ogrodzić posiadłość itd. Wszystko wyniesie najmniej 3,000 rs. Znawca stosunków i obrotów podmiejskich takie czyni wyliczenia z tej sumy: Jeżeli weźmiemy, że 3,000 rs., na dobrej nawet umieszczone hypotece, dałyby 6%, tj. 180 rs. rocznie, jeżeli doliczymy podatki w sumie około 20 rs. i utrzymanie dozorcy w porze zimowej rs. 100, to otrzymamy 300 rs. rocznie, tj. taką poważną sumę, za którą można wyjechać nawet z rodziną do Zakopanego lub Kołobrzegu.

Fakty te świadczą nietylko o braku zmysłu krytycznego i praktycznego śród tej kategoryi mieszkańców rozgorączkowanych żądzą posiadania: własnego gruntu, ale także o ich znamiennej ślimaczości. Bo prócz tych, którzy ujawniają całkiem słuszne pragnienia: przykuci do miasta chcieliby przynajmniej na uwięzi przedłużonej mieszkać latem po za jego murami — jest sporo takich, którzy mają do rozporządzenia, przy średniej zasobności, parę miesięcy co rok na wypoczynek. I ci właśnie szukają wytchnienia na tej wsi znieprawionej, obdarzonej naleciałościami miasta; śród tych pól piaszczystych i zarośli leśnych, zapełnionych tłumami ludzi, podzielonych płotami i rowami na kawałeczki, po których wolno lub nie wolno chodzić. Chcą zostać posiadaczami siedzib śród tego gwaru, skrępowania i wyzysku dostarczycieli lichych produktów spożywczych. To są marzenia mieszczuchów. W ten sposób chcą oni urozmaicić i uprzyjemnić sobie życie! Rozumie to sprytny spekulant podmiejski i drwiąc z nich skrycie, stara się wyzyskać ich usposobienie ślimacze i nawyknienia krecie.

Wędrówki rzemieślników.

Przed dwoma, zdaje się, laty sekcya rzemieślnicza podała projekt wysyłania czeladników za granicę dla obeznania się ze zdobyczami techniki i udoskonalenia się w danym fachu. Projekt ten, przypominający dawne obowiązkowe wędrówki z okresu kwitnienia cechów, przyszedł do skutku, acz w skromnych rozmiarach. Kilku młodych ludzi odbyło wycieczki i powróciło. Czy ta ich podróż była płodna, czy się przyczynili choć w małej drobinie do podniesienia naszych rzemiosł, dotąd nie wiemy. Sam atoli fakt pewnych usiłowań w tej mierze już zasługuje na uznanie, gdyż ujawnia dążność naprawy produkcyi rękodzielniczej. Obecnie, jak donoszą pisma, kilkunastu młodych rzemieślników cechowych udało się własnym kosztem za granicę w celu odbycia „wędrówki fachowej." Nadto — urzędy starszych zgromadzenia szewców, krawców i ślusarzy wydały wielu czeladnikom świadectwa, upoważniające do podróży po Niemczech i Austryi. Dowodzi to, iż rzemieślnicy nasi przychodzą do większego uświadomienia, że powoli zrzucają z siebie skorupę rutyny i zaściankowości. Wyjść na tem mogą dobrze i oni i konsumenci.

WYSTAWA WSZECHSZWAJCARSKA.

IV.

Pośród wielu innych rzeczy godnych widzenia, w tymże oddziale sanitarnym zabłąkały się prace dwóch naszych rodaków: tablica odwzorowująca preparaty komórek mózgowych, wykonane według metody Ramon y Cajal'a przez psychiatrę, d-ra Pilza, oraz jeden z kartonów znakomitego atlasu anatomii profesora Laskowskiego z wszechnicy genewskiej — wspaniałe dzieło dr. Zygmunta Balickiego, socyologa i rysownika, który cieszy się wielkiem i dobrze zasłużonem uznaniem w świecie przyrodoznawczym za swoje dokładne i śliczne rysownicze reprodukcye zdobyczy prosektoryjno-klinicznych. Karton, o którym mówię, przedstawia tułów ciała ludzkiego w przekroju podłużnym. Większy zbiór tego rodzaju prac d-ra B. znajduje się w naukowym oddziale wystawy.

Przesuwamy się ospale koło kiosków Towarzystw: biblijnego i wstrzemięźliwości. Jedno popisuje się postępami swej propagandy, drugie, prócz tego, usiłuje zwabić ku sobie jeszcze taniością swych napojów „wstrzemięźliwych." Trudno jednak określić stopień prozelityzmu tych, co (po za wystawą) odwiedzają chętnie genewskie *salles de temperance* — sprowadza ich tam wstręt do alkoholu, czy też życzliwa ubóstwu taniość strawy?

Mijamy to wszystko, przechodzimy most na Arwie i wkraczamy do trzeciej grupy wystawy: do oddziału rolnictwa. Miejcie litość nad sobą i nade mną i nie każcie mi wyliczać ani opisywać narzędzi rolniczych i firm, które je zrobiły i czekają tutaj na nagrody lub odznaczenia. Zresztą dział ten, gdyśmy go zwiedzali, nie całkiem jeszcze był dostępny dla publiczności. Ciekawy on jest dla rolnika, bo daje obraz postępów kraju w technice rolniczej. Fachowiec dużoby tu znalazł pouczającego dla siebie. Szkoda, że mało co o tem wszystkiem moglibyśmy powiedzieć, nawet z punktu ogólnych wrażeń, gdyż nie było jeszcze wykończone — jak zresztą i cała wystawa nie dosięgła była szczytu swojego rozwoju: tu i owdzie świeciła lukami, brakowało jej ostatniego *coup de main.* Zaszczyt genewskiemu ogrodnictwu przynoszą kwietniki, zdobiące przestronny dziedziniec oddziału rolnictwa. Oczy znużone mozaiką martwych dzieł ludzkich, z rozkoszą toną w złocistych, białych i fioletowych bratkach, które, rozsadzone według barw—każda gromada na swej grządce—bujne i młodzieńcze, rozradowują znękaną natłokiem rzeczy kulturalnych — duszę. Drugimi takimi bratkami, ale już nie w postaci roślinnej, są hożo góralki z przyległej Rolnictwu „Wioski szwajcarskiej." Ich malownicze, pełne prostoty i wdzięku samorodnego stroje ludowe odbijają mile od tła szarej, skąpej, mieszczańskiej nudy marynarek, żakietów i nigdy niesytej siebie mody damskiej — i budzą tęsknotę za minioną i przyszłą, szczerą, wolnych, pogodnych i szczerych dusz, ozdobą ciał ludzkich...

Chcecie wiedzieć, co to jest wzmiankowany *Village suisse?* Jest to dość udatna i dowcipna próba uprzytomnienia wsi szwajcarskiej w ramkach przyrody—z jej mieszkańcami, ich trybem życia, obyczajowością. Góry, mające wyobrażać łańcuch Alp Oberlandu berneńskiego, zrobiono z szop drewnianych, skały z kartonu. Wszystko to udaje naturę w zdrobnieniu. W łonie owych sztucznych gór umieszczono efektowną panoramę Alp. Słowem, cała dekoracya dla mieszczucha, nawykłego do rzeczy podrabianych — nie pozostawia nic do życzenia. Są i kozy, i pastuszkowie, *jodlerzy*, jest flora alpejska, kaskady. Potok tylko górski, wpadający do Arwy, nad którym „wioskę" umieszczono, jest naturalnym przedstawicielem przyrody. Najciekawszą zaś ze wszystkiego jest kolekcya chałup chłopskich, zachowująca wiernie style wszystkich kantonów. W chałupach tych pomieszczono *brasseries*, w których powabne góralki, każda w stroju swojego zaścianka, pełnią rolę Heb. Publiczność, dokupiwszy sobie za pół franka bilet wejścia, ciśnie się tu hurmem, żeby się napatrzeć wszystkim tym dziwom. Muzyka i tańce ludowe, w których i widzowie, pociągnięci przykładem, biorą udział — to najpotężniejszy chyba wabik. Wogóle, od biedy, ta „wioska" mogłaby uchodzić za rodzaj naprędce sklecionej, dość jednak kosztownej wystawy etnograficznej i, bądź co bądź, jest godna widzenia, bo w samej rzeczy daje niezły obraz wsi szwajcarskiej.

Syt rzeczy ludzkich, opuszczam wystawę ich i mostem, łączącym *Ch. d'Accacias* z *B-rd du Pont d'Arve*, wracam do mego ustronia, *Clos Barbey* — do kontemplacyi

i idej. Nad Plain-Palais buja bury, monstrualnie wydęty pęcherz — balon *captif*, uwiązany u mostu na linie. Na dole pstry tłum uradowanych gapiów, w górze, w łódce balonu, kilku wiewających chustkami filistrów. To kilku niewolników rzeczy, za 6 fr. usiłuje wzbić się ponad szary i jałowy poziom życia fachowego Nie! Oni chcą nacieszyć się wystawą *a vol d'oiseau*... Ten balon-więzień — to wyborny symbol polotu tych ludzi.

Tak wygląda wystawa genewska ze strony jej duszy społecznej. Rozumem społecznym jej i zarazem klejnotem są działy: naukowy, szkolny i ekonomii społecznej. One dopiero stanowią jej klucz, perspektywę właściwą i syntezę wewnętrzną tej mnogości różnorakich przedmiotów. Ale o nich, jeżeli szranki pozwolą, później...

Zyg. Pietkiewicz.

BADANIA NAUKOWE.

K. Daniłowicz - Strzelbicki: *Przyczynek do badań antropologicznych nad ludnością Królestwa Polskiego.*

O składzie rasowym i właściwościach antropologicznych naszego narodu w obrębie Królestwa prawie nic nie wiemy. Nawet podczas powszechnego zainteresowania się naukami przyrodniczemi przed laty dwudziestu, zajmowano się antropologią bardzo mało. Poprzestano na przekładzie kilku dzieł z zakresu tak zwanej antropologii zoologicznej, badającej stanowisko człowieka wśród innych ogniw królestwa zwierzęcego. Co zaś do studyów antropometrycznych, tj. bezpośrednich pomiarów i spostrzeżeń, pole to spoczywało zupełnym odłogiem. Można na palcach policzyć prace, istniejące w tym zakresie. Dodajmy do tego, że niektóre z nich mają charakter zanadto specyalny, ażeby zdołały służyć za przyczynek do poznania budowy antropologicznej naszego kraju. Poszukiwania dr. Dudrewicza nad dziatwą Warszawy, dokonane bardzo sumiennie i wogóle zadawalające pod względem metodologicznym, dają pojęcie tylko o stosunkach, właściwych stolicy. która, jako ognisko, ściągające przychodniów ze wszystkich okolic kraju, zmienia prawdopodobnie swoją fizyognomię antropologiczną z biegiem czasu. Pomiary dr. Suligowskiego śród młodzieży szkolnej w Radomiu mają więcej znaczenia dla hygieny, niż antropologii kraju. Dopiero systematyczne studya dr. Olechnowicza nad ludnością w gubernii Lubelskiej, oraz obliczenie wzrostu, dokonane przez p. A. Zakrzewskiego na podstawie materyału poborowego, zwiastują nastanie badań powszechniejszych. Obecnie przybyła praca p. K. Daniłowicza - Strzelbickiego, badająca rozmieszczenie wzrostu, wagi ciała i szerokości klatki piersiowej wśród mieszkańców Królestwa, oraz mapy, ułożone przezeń i znajdujące się na wystawie hygienicznej, które przedstawiają rozmieszczenie barw oczu i włosów (i wogóle typów jasnego i ciemnego) w obrębie tylko co wymienionego terytoryum. Autor rozporządza dość pokaźnym materyałem, bo kilkunastu tysiącami spostrzeżeń Jest to cyfra, którąby upoważniała do pewnych wniosków, gdyby spostrzeżenia były rozmieszczone równomiernie pomiędzy oddzielnemi okolicami kraju.

Barwa włosów i oczu należy do rysów natury rasowej, tymczasem waga ciała i tem bardziej rozmiary klatki piersiowej, jakkolwiek są może w pewnej zależności od typu antropologicznego, zmieniają się jeszcze bardziej pod wpływem warunków społecznych, wśród których wypadło przebywać mieszkańcom pewnej okolicy. Różnice, które pod tym względem zachodzą pomiędzy wieśniakiem a mieszczuchem (zwłaszcza w wieku młodszym), dostatecznie ujawniają ten związek pomiędzy rozwojem organicznym a otoczeniem. Wzrost, co do swego zachowania, stoi pośrodku. Będąc w pewnych granicach cechą, charakteryzującą niektóre rasy (dość wskazać wysoki wzrost blondyna, właściwego Murzyna i Papuańczyka, a nizki bruneta nadśródziemnomorskiego, negryla lub negryty), zmienia się on także skutkiem oddziaływania warunków bytu. Daty, zebrane w rozprawie p. K. Strzelbickiego, a dotyczące wzrostu, zwłaszcza zaś wagi ciała i klatki piersiowej, mogą dać wskazówkę co do tego, jakie wpływy ze strony otoczenia, dodatnie lub ujemne, przeważają w oddzielnych okolicach naszego kraju. Przed dziesiątkiem lat pewien publicysta, jeden z tych, którzy nigdy nie frymarczyli swojemi przekonaniami, poruszył sprawę rzekomego zwyrodnienia naszego narodu pod względem fizycznym, opierając się na porównawczym materyale statystyki poborowej. Poszukiwania A. Zakrzewskiego i K. Strzelbickiego wykazały, że sprawa jest bardziej złożona i pośrednio potwierdzać zdają się przypuszczenie, iż wzrost jest w pewnej mierze oznaką, zmieniającą się zależnie od typu. Atoli ile mnie nie przekonały dowody, przytaczane przed laty dziesięciu na korzyść rzekomego zwyrodnienia, o tyle nie przemawiają do mnie daty nowsze. Ażeby rozstrzygnąć rzecz, trzeba rozporządzać takimi pomiarami, co p. K. Strzelbickiego, za dłuższy przeciąg czasu, robionymi systematycznie w pewnych odstępach. Dynamika zmienności w otrzymanych cyfrach dopiero wykazałaby, po czyjej stronie jest słuszność. Nasze zaś niepoślednio jeszcze stanowisko wśród innych ludów (przyczem proste zestawienie przeciętnych nie wystarcza) świadczy tylko o tem, że względnie stoimy jeszcze nie najgorzej — nic nadto.

Mapy, podające rozmieszczenie barwy oczu i włosów w Królestwie, są tylko tymczasowem przedstawieniem rezultatów, do jakich doszedł p. K. Strzelbicki w swoich studyach. Sądzimy bowiem, że drobiazgową statystykę ogłosi on w oddzielnej rozprawce. Rezultaty te zawierają dla nas parę niespodzianek, przynajmniej nie oczekiwaliśmy pewnych faktów — na podstawie wniosków z rozmieszczenia typów jasnego i ciemnego w Poznańskiem i w Galicyi. Dowód to, jak trzeba być ostrożnym w swoich uogólnieniach. Zresztą dane, dotychczas zebrane przez p. S., mogą uledz pewnej zmianie pod wpływem dalszych, szczegółowszych studyów, które on ma zamiar prowadzić. Z konieczności wziął za podstawę swojej mapy podział kraju na powiaty, który nie zawsze zlewa się z właściwościami topograficznemi Królestwa, jeszcze zaś mniej z pasami historyczno-społecznymi. Bieg rzek, lesistość okolicy lub jej żyzność i inne tego rodzaju względy rozstrzygały o wędrówce typów, względnie ich mieszaniu wzajemnem. Uwzględnienie tego rodzaju oddziaływań jest możliwe do osiągnięcia tylko przy wzięciu za podstawę mapy podziału Królestwa na gminy— dzieło, wymagające olbrzymiej, wieloletniej a skrzętnej pracy w zakresie gromadzenia materyału. Użycie takiej skali usunęłoby możliwość jeszcze dalszych nieścisłości. Dla przykładu biorę dobrze mi znane trzy powiaty: Koliński, Ostrołęcki i Prasnyski. Każdy z nich w jednej części składa się ze sporych folwarków, w drugiej z zaściauków drobnej szlachty, w trzeciej zaś z puszczy, zamieszkałej przez Kurpiów. Ogólna cyfra dla całego powiatu stwarza pewną fikcyę antropologiczną, bo może Kurpie i drobna szlachta stanowią odmienny skład antropologiczny — mówię wyraźnie „może,“ bo prawdopodobną jest także inna ewentualność, mianowicie, że różnic niema. I znowu oparcie mapy na podziale według gmin dałoby dokładniejszy obraz kraju. Zaznaczamy jednak, że wyłuszczone wady w układzie mapy są niezależne od dobrych chęci p. K. Strzelbickiego, bo liczba spostrzeżeń, któremi on rozporządza, nie pozwala na takie przedstawienie rzeczy. Poruszamy tę kwestyę, gdyż świadomość istniejącej luki będzie tylko zachętą dla p. Strzelbickiego i innych do dalszych studyów nad właściwościami antropologicznemi naszego narodu. Natomiast zwrócilibyśmy jego uwagę na inną stronę mapy. Przy ogłaszaniu materyału statystyczno-antropologicznego w oddzielnej rozprawce dobrze by zrobił, idąc za wzorem Rankego i Topinarda, którzy nie poprzestali na odróżnieniu „jasnych“ i „ciemnych“ okręgów, ale wprowadzili jeszcze szczegółowszą klasyfikacyę. Wspomniany np. powyżej antropolog niemiecki, wziąwszy za podstawę obfitość procentową brunetów, już dla każdego dalszego przyrostu 5% (jeśli nas pamięć nie myli) wprowadzał inną barwę. Może owe oazy, istniejące na mapach p. S., wyglądałyby nie tak rażąco, gdyby znalazły się w otoczeniu rozklasyfikowanych powiatów „jasny ch.“

Przyczynek p. Strzelbickiego jest poniekąd uzupełnieniem pracy p. Zakrzewskiego. Ten ostatni rozporządzał kilkunastu dziesiątkami tysięcy pomiarów nad młodzieżą poborową, tj. nad tym okresem życia, w którym wzrost nie jest jeszcze wielkością ustaloną. Materyał p. K. Strzelbickiego dotyczy osób, będących w wieku, w którym dalsze zmiany już nie zachodzą. Swoją drogą rezultaty, otrzymane z tych późniejszych poszukiwań, potwierdziły zasadniczy wynik badań dawniejszych, bo wykazały, że gubernie Lubelska i Suwalska odznaczają się wzrostem najwyższym. Nie zatrzymujemy się nad innymi rezultatami. Chodzi nam bowiem na razie o zwrócenie uwagi na szereg rozpoczynających się studyów, nie zaś o przedstawienie otrzymanych wyników. Może, po ogłoszeniu statystyki barwy oczów i włosów według powiatów, powrócimy do tego przedmiotu, ażeby zająć się rozmieszczeniem typów.

Na zakończenie dodamy, że mnożą się nietylko poszukiwania. Losy pracowni antropologicznej zdaje się są rozstrzygnięte. Powstanie jej przyczyni się może do solidaryzowania sił, które dzisiaj są rozstrzelone i z tego powodu schodzą często na marne. Niepodobna wątpić o tem, że istnieje u nas zainteresowanie studyami antropologicznemi. W swojem ręku mam parę prac źródłowych, z których jedna, dr. Czesława Zawidzkiego, obejmuje statystykę pomiarów nad paruset czaszkami. Jest wielu młodych medyków, którzy, osiadłszy na prowincyi, prowadzą lub zamierzają prowadzić studya. Antropologia zaś jest nauką, w której tylko zrzeszenie wysiłków podoła obfitości materyału. Powstanie pracowni antropologicznej, która z konieczności stanie się ogniskiem badań tego rodzaju, będzie zachętą do porozumienia się wzajemnego wszystkich tych młodych pracowników, którzy znalazłszy się w ustroniu prowincyonalnem i bez wieści o współtowarzyszach, zajmują się badaniami coraz opieszalej, aż wreszcie zapominają o dawnych postanowieniach.

L. K.

USTRÓJ SAMORZUTNY
SPOŁECZEŃSTWA POLITYCZNEGO.

I.

Niedawno (w nr. 27) *Prawda* podała wiadomość o nowym członku *Międzynarodowego Instytutu socyologii* w Paryżu — polaku, d-rze Zyg-

muncie Balickim. Znajduje się on tam w gronie mniej i więcej poważnych i zasłużonych na polu naukowem badaczy, jak: Lujo Brentano z Monachium, Dallemagne z Brukseli, A. Espinas, Fouillée, Letourneau, Th. Ribot, G. Tarde z Paryża, Ch. Gide z Montpellier, Enrico Ferri z Rzymu, Karol Menger z Wiednia, Simmel z Berlina, Tylor z Oksfordu, Kowalewski i Winogradow z Moskwy, Lilienfeld i Traczewski z Petersburga, John Lubbock z Londynu, Schaeffle ze Sztutgartu itp. Dr. Balicki po Gumplowiczu jest drugim polakiem w owem towarzystwie naukowem, usiłującem socyologię wyprowadzić z odmętu poglądów indywidualnych na tory ścisłej, przedmiotowej wiedzy. Słusznieby gotów czytelnik spytać: co go tam wprowadziło, jakie zasługi, jakie zdobycze na polu odnośnych badań? Boć przecie nie wchodzi się do poważnych ciał naukowych z niczem. W odpowiedź na to przedstawimy tu jego ścisłe, oryginalne i doniosłe badania, których zarys — mający być rozwiniętym w większem dziele — mamy pod ręką*).

Zanim przystąpimy do streszczenia poglądów d-ra B. i jego badań nad zjawiskami życia społecznego, następnie do naszych uwag nad niemi, poznać nie zawadzi jego słownictwo, tem bardziej, że on sam zastrzega, iż ono oznacza miejsce, jakie zajmują zjawiska, stanowiące przedmiot jego dociekań. Idzie mu o ustalenie pojęć t. zw. *społeczeństwa politycznego, narodu, ludu i państwa.* Społeczeństwem politycznem nazywa on ciało społeczne, zaopatrzone wewnątrz w maximum łączności i spoistości, obok maximum niezależności w jego stosunkach zewnętrznych. To jest indywidualność składająca społeczeństwo międzynarodowe. Życie jego objawia się w podwójnym szeregu faktów — fizycznych i psychicznych, które należy unaoczniać osobno: raz jako ustrój anatomiczno-fizyologiczny, drugi raz jako systematyzacyę stanów świadomości społecznej. Tę ostatnią, „żeby uniknąć pokusy *de causation réciproque* między tymi dwoma szeregami“ i zabezpieczyć się przeciwko dowolności metody, równie utartej, jak sprzecznej z duchem naukowym, usuwa starannie z badań (zapewne chwilowo).

W tych szrankach dopiero rozpatruje „społeczeństwo polityczne“ pod względem: statycznym i czynnościowym (dynamicznym). Gdyż w samej rzeczy wyróżniamy z jednej strony podłoże organiczne i nieorganiczne czynności społecznych, stan i właściwości pierwiastków składowych, ich stosunki „społeczliwości“ (*sociabilite*) i powinowactwa wzajemnego; z drugiej zaś, samą organizacyę czynności, różne postaci i ich sposób ugrupowania. W innym znów kierunku zjawiska wszelkiego życia ustrojowego rządzone są przez podwójne prawo integracyi i zróżniczkowania, które, rodząc pewne odrębne formy społeczne, sprowadza dwa poddziały w każdej z dwu poprzednich kategoryj. Zcałkowanie dokonywa się nad żywiołami jednorodnymi, podobnymi, na mocy ich powinowactwa wnętrznego i ujawnia się w postaci organizacyi samorzutnej (*spontanée*). Zróżniczkowanie natomiast spełnia się nad wszystkiem, co jest rożnorodne, mechanicznie zjednoczone i ma wygląd przymusowego: sprzężenia pierwiastków rozbieżnych. Tym sposobem socyolog nasz otrzymuje cztery formy objawów organicznego życia społecznego, z których każda uprzytomnia społeczeństwo polityczne pod obliczem szczególnem, mianowicie: Naród i lud, jako formy statyczne, społeczeństwo (*sensu stricto*) i państwo, jako formy organizacyi czynnościowej. Naród i lud przedstawiają więc społeczeństwo polityczne, występujące w swych stosunkach wewnętrznych niezorganizowanych. Jeden unaocznia je w swoich stosunkach jednorodności, drugi—różnorodności swoich pierwiastków. Społeczeństwo i państwo są dwoma obliczami „społeczeństwa politycznego,“ stosownie do organizacyi czynności zbiorowych, bądź samorzutnej i dowolnej (*spontanée et volontaire*), bądź przymusowej i niewolącej (*forcée et coercitive*). Społeczeństwo zatem jest „organizacyą narodu,“ jak państwo — „ludem zorganizowanym.“ Jednem słowem, pod określeniem samorzutnej organizacyi społeczeństwa politycznego rozumie dr. B. społeczeństwo w ścisłem znaczeniu. Organizacya ta ogarnia stowarzyszeniowo-współdzielczą (*associative et coopérative*) działalność jej. grup, koordynacyę działania wspólnego.

Podział ten (naród, lud, społeczeństwo i państwo) stał się w prawie publicznem i opinii powszechnej, w myśli pospolitej — bieżącym. Autor zaś przyjmuje go dlatego, żeby zachować niejako łączność swoich własnych badań z żywym, faktycznym pniem macierzystym, tj. ze sforą utartych pojęć—w mniemaniu, że do nauki społecznej należy dostarczyć im podstaw syntezy i umieścić je w „świetle praw ogólnych *). Są to niewątpliwie formy anormalne, granice niektórych z nich nie zbiegają się z granicami innych, nadając przez to społeczeństwu politycznemu pozór nieokreślonego i ekscentrycznego stłoczenia. Ustaliwszy wszakże ich rodowód i prawa, łatwo będzie poczynić poprawki i sprostowania. Słownictwo socyologiczne winno się stosować, ile można, do pojęć bieżących, które należy objaśniać światłem badań metodycznych. Wystarczy tylko porozumieć się co do wyrazów użytych i w dalszym ciągu dowieść, że one, uszczknięte praktyce, dadzą się zastosować, nie gwałcąc całokształtu zjawisk ściśle określonych. Jeżeli można nazwy utarte pomieścić na czele klasyfikacyi, tyczącej się ogólnych kategoryj zjawisk społecznych, byłoby to bez zaprzeczenia pożądanem. Spytaćby można—czemu? Sam autor niech wyręczy nas w odpowiedzi: „Dużo się spierano w różnych czasach nad słownictwem społecznoznawczem. Spory te były korzystniejszymi uczonym, niż nauce, i groziły zawsze unieruchomieniem zjawisk spostrzeganych w niepewnych granicach wyrazów umównych, a myśl gminna, tak słuszna w ocenach swej logiki ryczałtowej, tak omylna w analizie i rozumowaniu, płaci koszty tych sporów. Do niej to jednak należy skorzystanie z nauki, jako z przesłanki. mającej służyć społecznej sztuce współżycia ustrojowego; jej udziałem jest zastosowanie pojęć teoretycznych do praktyki czynu. Z wyrazów czyni ona częstokroć hasła bojowe, ważnem więc jest, żeby je spożytkowała w ich znaczeniu ścisłem i naukowem.“ Sądzę, iż nie zrozumiem autora błędnie, jeżeli w tem jego, na czele pracy umieszczonem spostrzeżeniu będę widzieć zarazem zawartą użytkową stronę zadania socyologa ścisłego, dbałego o to, ażeby myśl gminną — tam gdzie warunki dziejowe jej sprzyjają, prawodawczą — uchronić od pomieszania i nadużycia pojęć socyologicznych i pogwałcenia istoty procesu społecznego. Troska o to prześwieca z całej pracy dr. B. Ma ona pewien odcień frasobliwości, rzeczy można, przezornego, trzeźwego i zrównoważonego w sobie myślowo-wzruszeniowo doskonale — męża stanu.

Zobaczymy w dalszym ciągu sprawozdania, jak on, ze swego punktu widzenia z tego się wywiązuje. Stanowiska społecznoznawcze, nasze i jego, są zasadniczo różne, tające za sobą zdradliwe nurty niestatecznej, ruchliwej — jak sama bieżąca fala życia ruchliwą jest — cenestezyi społecznej: uczucia myślorodne. Trud to więc nie byle jaki — wierne oddanie badań autora i zachowanie się wobec nich bezprzesądne. Ułatwić jednak nam może to zadanie wspólność procesu społecznego, z którym, bez różnicy szkoły, mamy do czynienia — pomimo,iż on go zamyka w niedostępnej na pozór warowni ścisłości teoryo-poznawczej. Zanim, starając się spojrzeć na chwilę jego własnem okiem, wejdziemy do niej, nie od rzeczy będzie pobieżna uwaga. Całe usiłowanie d-ra B., ogólnie mówiąc, sprowadza się do uwydatnienia logicznego ładu w zjawiskach życia społecznego, do skoordynowania, że tak powiem, samoistnej wnętrznej logiki procesu społecznego w dziejowym przebiegu z osobistą logiką samego badacza, która także, swoją drogą, w stosunku do jego intuicyi — jedynej prawdziwej własności jednostki — jest wytworem społecznym. Jest to próba ujęcia w sieć teoryi poznania — faktów społecznych, całego labiryntu żywych zjawisk: prometeuszowska dążność do porwania tętniącej rzeczywistości z poziomu minionych i bieżących doświadczeń, ku obłokom oderwania, przed areopag Abstrakcyi.

(D. c. n.)

*) *L'organisation spontanee de la Societe politique*, par Sigismond Balicki. Odbitka z *Revue internationale de Sociologie*, Renego Wormsa.

*) Jest to typowa metoda *indukcyonistów*, ceniona wielce w świecie t. z. „pozytywnych“ badaczów zjawisk społecznych i przeciwstawiająca się, jak wiadomo, ostro szkole t. zw. „dedukcyonistów,“ czyli inaczej jeszcze — „socyologów partyjnych,“ zagrażających teoretycznie i praktycznie przeciwnemu życiowo i ideowo stanowisku, i często z tego powodu mianowanych „doktrynerami.“

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Zofia Kowerska *Na służbie*, powieść. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1896, t. I, str. 292, t. II, str. 257.

Jakiś czas łudził się p. Zenon Stamarski zwodniczemi nadziejami, że się utrzyma na urzędzie, który wśród powszechnych przeobrażeń naszego stulecia pozostał już tylko jako samotna wysepka *in pericula maris*. Powodziło się mu dotąd w życiu tak świetnie, że wystawiano go młodzieży na doroblku jako dowód, że pracą i zdolnością dojść można do znaczenia i majątku. Majątek ten składał się wprawdzie z wystawnie prowadzonego domu, powozu i paru koni do wyjazdu z wizytami i na rozmaite corsa; ale za to dziatwy była gromada spora i wychowanie jej prowadzono w takim stylu, jak gdyby chłopcy wyjść mieli odrazu na pułkowników lejb-gwardyi, dziewczęta zaś, po włożeniu długich sukienek — dostać za mężów półudzielnych książąt bawarskich. Nad przyszłością rzeczywistą najmniej się zastanawiała matka rodziny — pani Karolina, która czerpiąc obficie z zawsze otwartej kieszeni mężowskiej, wspaniałomyślnie pozwalała na to, „by ją uwielbiano, by jej dogadzano i by ją życie unosiło na fali leniwej, pełnej blasków, a kołyszącej do bezmyślnego szczęścia.“ Szczególnie w ostatnich latach życie Stamarskich przybrało wygląd wspaniały i wykwintny, z powodu ich córki najstarszej, Aliny, pieszczotki kochającego ojca i chluby ubóstwiającej matki. „Od chwili, gdy dziewczyna w świat wprowadzoną została, wszystkie myśli rodziców dokoła niej się obracały. Matce byłoby się wydawało zbrodnią pozbawić ją jednego balu, je-

dnego koncertu, spaceru, podróży; żadne przedstawienie lub zabawa, gdzie piękny świat był zebrany, nie mogły się obyć bez pań Stamarskich.“

Taki jest początek powieści, tytuł zaś jej zawczasu wskazał, z czego się składać będzie środek. Grom padł nie z pogodnego nieba. Stamarscy sprzedają najpierw konie i powóz, przenoszą się następnie na skromniejsze mieszkanie, wreszcie wyprawiają Alinę „na służbę.“ Traf ślepy, który u nas najpunktualniej wspiera niedołęztwo, ospałość, próżniactwo wytworne, przenosi Alinę na skrzydłach pary pod Oszmianę, do zamożnego ziemiańskiego domu Skierków czy Oskierków, w którym milioner Prędowicz po stracie żony umieścił przy babce nieletnią swą córeczkę Miecię, na wychowanie; panna Stamarska obejmie przy niej obowiązek guwernantki z płacą roczną 2 tysięcy rubli, co jej pozwoli w kraju tym jeszcze niemal barbarzyńskim, powtórzyć cywilizacyjną rolę Jadwigi Piastowiczówny. I rzeczywiście, już na str. 126 tomu I-go dowiadujemy się, że między nią, a młodym dziedzicem z pod Oszmiany, Juliuszem Oskierką „powstaje coś, jak węzeł wzajemnej sympatyi.“ O trzy kartki dalej znajdujemy taki dyalog:

Alina. Możemy teraz być przyjaciółmi. Ja pana nigdy nie wezmę za konkurenta, pan mnie nigdy za kokietkę...

Juliusz. I staje między nami przymierze zaczepne i odporne, które się wzmacniać będzie, jeżeli przy bliższem poznaniu przyjaźń i szacunek nasz wzajemny wzrastać będzie...

Alina. I przynajmniej raz w życiu dwoje młodych ludzi, żyjących pod jednym dachem, nie będzie miało na myśli tego banalnego zakończenia wszystkich kwestyj: miłości i małżeństwa. Będziemy w takiej przyjaźni, jak gdybym nie była tą nieszczęśliwą panną na wydaniu, ale naprzykład chłopcem. Będzie to dla mnie prawdziwa rozkosz raz przecie nie widzieć prawdopodobnego konkurenta w młodym człowieku, który szuka mego towarzystwa...

Juliusz. Będzie mi, co prawda, nieco trudno wystawić sobie, że pani jest chłopcem, ale nawet bez tego wysiłku wyobraźni i widząc w pani młodą pannę, będę się czuł zupełnie swobodnym. Wiem, że pani pewno już nieraz wzbudziła w mężczyźnie silniejsze uczucie, że je pani pewno nieraz jeszcze wzbudzi, ale ja panią nie pokocham, bo sobie na to nie pozwolę w żadnym razie i nigdy.. Ludzie sądzą o życiu wedle literackiej, powieściowej egzaltacyi, przeznaczając miłości pierwszą rolę... Co do mnie, nie jestem ani salonowy, ani zręczny, i pani pewno nie jednego przyjemniejszego odemnie widziała... A więc, panno Alino, będziemy rozmawiali, będziemy śpiewali, będziemy sobie opowiadali... itd — do str. 136.

Wnosićby z tego należało, że opowiadanie trzymane jest w tonie humorystycznym; ale nie, — rozmowy w tym guście prowadzone są wszędzie na serio, obejmują po pięć, po dziesięć, po piętnaście stronic, a ciągną się przez cały tom pierwszy i przez cały drugi — do samego końca. Na str. 139 tomu pierwszego Alina oznajmia Juliuszowi: „wszak ja nie mówię, że nie poszłabym za mąż; poszłabym prawdopodobnie, gdyby mię chciał za żonę taki, coby mi się podobał.“ Na str. 158, Juliusz, ze swojej strony, wyznaje przed sobą, że „życie miał dotąd ciężkie i mozolne, teraz zaś, poczuwszy pierwszy gorący płomień miłości dla Aliny, zapytywał siebie, po co była cała ta praca, jeżeli się nie posiadało szczęścia.“ Na str. 167 opadają go skrupuły: „czy też Alina mogłaby go pokochać?.. sam on jest silny, on zniesie i wytrzyma, ale ta dziewczyna, która uczuciom swoim oddawała się z taką egzaltacyą, — coby z jej sercem uczyniła miłość nieszczęśliwa?..“ Tymczasem Alina, dopiero na str. 9 tomu II-o zaczyna powoli się domyślać przyczyny cierpień oszmiańskiego Wertera, chociaż już w tomie I-m od str. 126 te źródła zobopólnych westchnień każdodziennie zwiedzała i szeroko nad niemi się rozwodziła. Nie przestaje przecież wciąż siebie badać i wypytywać w skromności swej dziewiczej i siostrzanej: „Czemu on cierpi? co go boli, co przygnębia? — „i w usposobieniu swem, tak skłonnem do litości, chciałaby była tego przyjaciela zapytać, co mu było. chciałaby była wziąć go za rękę, wyprowadzić go do ogrodu i tam wśród poczciwych, dyskretnych lip zapytać: co ci jest, powiedz mi dlaczego jesteś smutny? — a onby jej odpowiedział szczerze, bo odczułby w niej życzliwość gorącą i chęć przyniesienia ulgi współczuciem.“ Na str. 58 tegoż II-go tomu mamy obrazek. Matka Juliusza Skierki, surowa, poważna, sprężysta gospodyni domu spostrzega pewnego dżdżystego dnia Alinę stojącą na stołku, ukrytą między płaszcze od kurzu wiszące w przedpokoju. Dziewczyna zdradziła się niebieską wstążką, której brzeg pozostał nieschowany. — Co to znaczy? — spytała Skierczyna. — Bawimy się z Miecią w chowanego; ona mię szuka w drugim końcu domu, a ja tu uciekłam...“ Niebawem atoli okazuje się, że i Juliusz nauczył się grać w chowanego. Dawniej gniewało go to, gdy Alinę spotkał w towarzystwie Mieci; obecnie brał dziecko na kolana, zaczynał poznawać je i lubić, wyrzucał sobie, że córka jedynej jego siostry (nieboszczki Prędowiczowej) była mu niegdyś obojętną, teraz zaś, ilekroć obie je — Miecię i Alinę — spotykał w polu, namawiał je, by szły z nim razem, bo tym sposobem, trzymając Miecię za rękę, mógł rozmawiać z Aliną swobodnie i spokojnie (61)... I wleką się te rozmowy, wleką, wleką...

Istnieją przeszkody, to prawda. Juliusz ma narzeczoną — Kocię; przytem milioner Prędowicz, ojciec Mieci, oświadcza się o rękę Aliny; obok tego ceny na zboże spadają, interesy majątkowe w energicznej dłoni pani Skierkowej (czy też poprawniej: Skierczynej), wikłają się. Juliusz podupada na duchu, powstają plotki, stary Skierka gra w karty, wyprawia awantury, rzuca się ze scyzorykiem na żonę, obala ją na posadzkę, zadaje jej ciosy. Alina opuszcza służbę, wraca do rodziców, — raz do Warszawy, drugi raz do Rygi, gdzie Stamarscy znaleźli zyskowniejszą jakąś posadę. Z Kocią Juliusz zrywa. Prędowicz dostaje czarną polewkę, Skierczyna jedzie do Rygi po Alinę, przy której wierci się nowy konkurent — także zdaje się milioner — Adaś Poraj. Rozmowa... Tym razem rozmowa Skierczynej z Aliną, na str. 214 tomu II-o.

— Alinko! — zawołała matka Juliusza. — On potrzebuje ratunku, którego mu stara matka dać nie zdoła, a który dać mu możesz ty tylko jedna!

(Oczywiście Alina ani w ząb nie rozumie o co chodzi).

— Ratunku?... Cóż się to stało, pani?

— Powiem ci zaraz, i ty będziesz miała litość nad nim i nademną! Nie odmówisz mi!

— Jeżeli o ratunek chodzi... Ale co ja uczynić mogę?

— Słuchaj! On ciebie kocha i od twego wyjazdu tęsknił, rozpaczał, walczył sam z sobą... Miał nawet myśl samobójstwa... i nie wiem, czy jej jeszcze nie miewa chwilami... On mego nieszczęśliwego brata często przypomina, a brat mój umarł z melancholii... Ale teraz stała się rzecz najgorsza. Obudziła się w nim nagle namiętność ojcowska... pewno z rozpaczy i z braku nadziei... Zaczął grać w karty... sama widziałam... czyniłam mu uwagi, ale on ich nie przyjął...

(I matka ćwiczy w ten sposób z kwadrans, a dziewczyna ani mrugnie, — dopiero gdy przemówienie się skończyło) —

— O Boże! — zawołała Alina — co się z nim stało? On taki dobry syn! Wszak dawniej był tak pełen przywiązania, tak pełen uszanowania!

...Mniemacie, że to już koniec? — Wcale nie. Jest jeszcze stronic 42. Jest najpierw rozmowa o tem, *jak* Juliusza ratować? później, *czem* go ratować? później, *kiedy* go ratować? a nawet, *czy* ratować?... Oto na str. 229 Alina wchodzi do pokoju nieprzytomnego prawie Juliusza, a on ją odpycha..

— Odejdę, jeżeli pan chce — rzekła Alina — ale nie rozumiem pana. Przyszłam powiedzieć, że cierpię wraz z panem, tak jak pan... Czy to nic nie znaczy?.. Niech pan usiądzie, pan jest cały drżący od zmęczenia... Zaraz odejdę... Pamięta pan, jak mię pan niegdyś wezwał w chwili podobnej?.. Wtedy nie byłam panu ciężarem jak dzisiaj!.. Gdyby pan wiedział, jak jabym pragnęła wziąć na siebie połowę trosk pana!.! Dlaczego pan chce, bym odeszła?.. Niegdyś pan mię nazwał siostrą... Nie śmiałabym tego przypomnieć szczęśliwemu, ale dziś... przyszłam tu jak siostra...

Ma się rozumieć, kurtyna nie zapada jeszcze. Matka Juliusza chora, dogorywa. Nagle, na str. 256, do pokoju syna wpada Alinka...

— Żyje! żyć będzie! — woła. — Gorączka spadła, oddech łatwiejszy... Żyć będzie! Doktorzy mówią...

Juliusz stał przed nią, upojony jeszcze snem i naraz stało się coś, czego nie przewidział ani on, ani ona. Otworzył ramiona, a radość z uzdrowienia Skierczyny rzuciła w nie Alinę... Jego objęcia zamknęły się. Długi uścisk ich połączył. On ogarniał ją ramionami, ona tuliła się do niego. Płakali oboje ze szczęścia. Przez długą chwilę uścisk ich wydawał się czemś naturalnem, dopiero szelest jakichś kroków sprawił... że ramiona jego opadły, a ona, płonąca od wstydu, stanęła ze spuszczonemi oczyma. Serce jej biło jak młotem, oddychała spiesznie, w głowie jej szumiało, w oczach zrobiło się ciemno...

Lekarz przyszedł zawołać Juliusza do chorej... Ale co się przewlecze, to nie uciecze. Na str. 253 Juliusz wchodzi i widzi Alinę na klęczkach... Rodzi się w nim chęć powtórzenia poprzedniej sceny — to jest wyciągnięcia znowu rąk ku niej... Rozmowa:

— Jeżeli mi pani powie, że to był uścisk siostry, ja temu odrazu uwierzę, ja to zrozumiem. Przyszedłem, żeby panią uspokoić...

Alina zasłoniła twarz rękami.

— Ja nie chcę kłamać! — zawołała. — Nie wiem co się stało! Przyrzekłam być aniołem-stróżem, a teraz czuję...

Łzy zabłysły w jej oczach.

— Nie kochałam pana... doprawdy tylko jak brata! Ale gdy się czyją duszę weźmie w opiekę, to się ją musi pokochać silniej! Niewiem kiedy się to stało... dopiero teraz widzę, że to już od jakiegoś czasu było we mnie... ⁂

SPRAWY EKONOMICZNE

POMYŚLNY ZWROT.

III.

Uwagi i wnioski członków komitetu taryfowego, nieprzychylne dla uchwały zjazdu rolników w Moskwie, poparł także prezes, dyrek-

tor departamentu spraw kolejowych, W. Maksimow. Słusznie zaznaczył on, że już sama propozycya jednej formuły dla całego olbrzymiego państwa, posiadającego różnorodne warunki ekonomiczne, geograficzne i kulturalne — wzbudza niedowierzanie względem tego projektu. Istotnie jest to wniosek niebywały i wielce znamienny. Kwestya taryfowa, najzawilsza ze spraw życia ekonomicznego, potrącająca o najróżnorodniejsze, najsprzeczniejsze interesy, miałaby uledz losowi węzła gordyjskiego. Wszakże na opracowanie taryf, obecnie istniejących, poświęcono dziesiątki lat i chociaż zmieniano je dosyć często, nigdy atoli w taki sposób, conajmniej — dziwaczny. Przy przeglądaniu ich w latach 1889 i 1893, przeprowadzono bardzo szerokie prace przygotowawcze i ułożono plan reformy dopiero po wszechstronnem rozważeniu różnorodnych kwestyj, tudzież sprzecznych interesów każdej osobnej części państwa. Jakkolwiek taryfy obecne pozostawiają dużo do życzenia, opracowane są jednak na pewnych racyonalnych podstawach; przez długie lata przystosowało się do nich potroszę gospodarstwo rolne i koleje. System opłaty przewozowej musi ulegać zmianom, stosownie do zmieniających się lub wytwarzających warunków ekonomicznych, ale te reformy należy przeprowadzać z możliwem zadośćuczynieniem wszystkim potrzebom olbrzymich obszarów państwa. Nagły przełom mógłby wywołać ogólne, wielkie wstrząśnienie i nowe powikłania stosunków. Tymczasem zjazd moskiewski proponuje właśnie taką reformę — z pogwałceniem potrzeb ludności na znacznych obszarach. Wielce znamiennym jest jeszcze ten fakt, że do rozstrzygnięcia tak ważnej niezmiernie trudnej i powikłanej sprawy, dotyczącej milionów ludności, wzięła się gromadka rolników na zjeździe, nie rozporządzających ani odpowiednią sumą danych, ani też dostateczną ilością czasu i posługujących się tylko dorywczem, słabem, nierównem, jednostronnem oświetleniem potrzeb różnych części państwa.

W takim mniej więcej duchu wypowiedział dyrektor departamentu swoje przekonanie o zabiegach ks. Szczerbatowa i jego protegowanych. Przyczem komitet najzupełniej zgodził się na to, że jeżeli taryfy obecne nie odpowiadają istotnym potrzebom, to przekształcenie ich z uwzględnieniem i zabezpieczeniem potrzeb ludności całego państwa może być dokonane taką drogą, jaką je stworzono, tj. za pomocą ogólnego ich przejrzenia z udziałem przedstawicieli rolnictwa wszystkich części państwa, kupców zbożowych i kolei żelaznych. Do reformy takiej ma właśnie przystąpić wkrótce ministeryum skarbu, skoro tylko całkowicie wyjaśnią się warunki obecnej kampanii zbożowej. Przedwczesne wprowadzenie zmian, i to wielce radykalnych, mogłoby tylko wstrzymać lub nawet zupełnie rozwiać obecną skłonność zwyżkową cen zboża, sparaliżować pomyślnie układające się dla Rosyi warunki rynku międzynarodowego.

Ostatecznie komitet taryfowy sformułował swoje zapatrywania i wnioski w trzech bardzo ważnych punktach: 1) Zniżenie taryf zbożowych do $^1/_{100}$ kop. od puda i wiorsty przyniesie straty wszystkim kolejom żelaznym na sumę 40 milionów rs. rocznie, z których 35 mil. spadnie na skarb państwa, a 5 mil. na akcyonaryuszów prywatnych towarzystw kolejowych, przyczem niektóre z nich straciłyby swój całkowity dochód czysty. Straty te nie mogą być pokryte ani za pomocą podwyższenia opłaty przewozowej na inne ładunki, ani za pośrednictwem zwiększenia transportów zboża. 2) Reforma taka wywołałaby zupełny przewrót w warunkach gospodarki rolnej i handlu zbożowego w różnych częściach państwa. Dałaby ona znaczne korzyści guberniom południowym, tudzież dalszym wschodnim; stosunkowo niewielkie guberniom środkowym przy wywozie zboża za granicę i zadałaby silny cios rolnictwu wszystkich gubernij nieczarnoziemnych, wreszcie pogorszyłaby położenie gubernij środkowych na wszystkich rynkach wewnętrznych. 3) Takie znaczne i nagłe zniżenie taryf, przy obecnem położeniu rynku zwiększyłoby podaż zapasów zboża, skutkiem zniżki cen na rynkach wewnętrznych i zewnętrznych. Jednocześnie zaś z tą zniżką zniknęłyby nadzieje warunków korzystnych dla rolnictwa. Ci zaś wytwórcy i kupcy zbożowi, którzy wcale nie korzystają z kolei żelaznych lub którzy już przewieźli swoje wytwory do portów i na rynki wewnętrzne — ponieśliby oczywiste straty.

Dodajmy, że owoc narad komitetu taryfowego jest świadectwem pracy nadzwyczaj sumiennej i wszechstronnej, opartej na uwzględnieniu potrzeb całej ludności państwa. Jest to jednocześnie bardzo pomyślny zwrot w traktowaniu tych potrzeb. Na samo odparcie żądań bezzasadnych stosunkowo niewielkiej grupy rolników, poruszono i wszechstronnie rozpatrzono olbrzymi materyał, wyświetlono niemal wszystkie strony życia ekonomicznego, związane z tą kwestyą. Jednocześnie wobec szczerego uznania taryf dzisiejszych za wadliwe w pewnej mierze i wobec zapowiedzianej bliskiej ich reformy, można się spodziewać, że ten pomyślny zwrot nie skończy się na odparciu żądań zjazdu moskiewskiego, lecz wywoła w życiu ważne zmiany — sprawiedliwe i uwzględniające istotne potrzeby wszystkich części państwa.

R. 1895 mniej więcej w tym samym duchu wystąpił Adolf Suligowski ze swoimi wnioskami w Petersburgu na posiedzeniu głównego Towarzystwa przemysłu i handlu. Nadzwyczaj przychylne przyjęcie jego projektu, tudzież oświetlenia zjawisk, z któremi się powiązały sprawy taryfowe — zapowiadało już poniekąd kiełkowanie owego zwrotu. Ponieważ do nowego przejrzenia taryf będą powołani rzeczoznawcy, należałoby skorzystać ze sposobności i wyjaśnić niektóre mylne dotąd zapatrywania, dotyczące warunków ekonomicznych naszego kraju. Zadanie to tak ważne, że należałoby je powierzyć ludziom światłym i uczciwym, usunąć zaś zupełnie handlarzów i spekulantów zbożowych, którzy mając w zanadrzu interes osobisty, udają się na narady jako przedstawiciele potrzeb ogółu i podstępnie wyzyskują położenie dla siebie ze szkodą społeczną.

Zen. Piet.

W DALI.

Lublin. Telefony w Lublinie oddane będą do użytku publicznego 13 sierpnia r. b. — Według obliczenia w artykule wstępnym nr. 145 *Lubl. Guber. Wiedom.*, zmniejszenie podatku gruntowego dla gubernii Lubelskiej wyniesie rocznie 125,506 rs., czyli więcej, aniżeli 13%; za dziesięć lat suma oszczędności dla ludności wiejskiej dosięgnie 1,255,060 rs.; jeżeli do tej cyfry dodać darowane z mocy Manifestu niedobory w ilości 37,735 rs., to ogólna suma ulg darowanych ludności rolniczej w gub. Lubelskiej wyniesie 1,292,795 rubli; z tego przypada dla własności dworskiej — 680,972 rs., dla gruntów włościańskich — 573,750 rs. i dla osad (miasteczek) — 38,073 rs. Prócz tego z mocy Najwyższego Manifestu darowane są kary za spóźnienie w opłacaniu podatków gruntowych jak również za nieopłacenie stempla przy przejściu własności. Ostatnie wiadomości statystyczne wykazują, że w gubernii własność ziemska tak się ułożyła: włościanie posiadają morgów 1,163,510; osady, czyli dawne miasteczka mor. 66,809, miasta mor. 30,045, lasy rządowe zajmują przestrzeni morgów 34,730, dobra rządowe mor. 4,203, instytucye filantropijne mor. 2,116, koleje żelazne mor. 1,750, koloniści mor. 84 639, własność zaś większa, to jest obywatele ziemscy, m. 1,397,389, czyli przestrzeń największą. Z zestawienia porównawczego wynika, że własność większa zmniejsza się z każdym rokiem na korzyść włościan i kolonistów.

Płock. Dn. 6, 7 i 8 października r. b. odbędzie się w Płocku wystawa koni, na którą będą przyjmowane konie i źrebięta od roku do 6-ciu lat. Na nagrody przeznaczono: 300 rs. od zarządu stadnin państwowych za konie i roczne źrebięta, należące do duchowieństwa, włościan i mieszczan, za okazy typu roboczego lub wierzchowego, oraz 500 rs. od Towarzystwa warszawskiego wyścigów konnych za konie typu wierzchowego, należące do większych właścicieli ziemskich. Oprócz nagród pieniężnych, zarząd stadnin państwowych przeznaczył na nagrody: dwa medale srebrne, trzy bronzowe i cztery listy pochwalne za konie do 7 lat i źrebięta typu roboczego, oraz dwa medale srebrne, trzy bronzowe i trzy listy pochwalne za ogiery i klacze wierzchowe w wieku od roku do lat siedmiu. Zamówienia na miejsca należy nadsyłać do hotelu Warszawskiego w Płocku, pod adresem p. Zygmunta Ostrowskiego z Borowic przed d. 1-ym września r. b., gdyż w dniu tym lista będzie zamknięta. Do komitetu wystawy należą pp.: Stanisław Epstein z Soczewki, Zygmunt Ostrowski z Borowic, Bronisław Szuski z Płomian, Szczepan hr. Tarnowski z Nacpolska, Aleksander Wielogłowski z Dzierżanowa, Wacław Wolibner z Gulczewa i Bolesław Zdziarski z Ciesiel.

Mińsk. Dane statystyczne, ogłoszone w pamiętniku gubernialnym, co do ruchu ludności, stwierdzają ubytek Żydów, a przyrost ludności prawosławnej w ciągu ostatnich lat 25. Od czasu uwłaszczenia włościanie nabyli 74,906 dziesza własne pieniądze, a 10,300 dzies. przy pomocy banku włościańskiego. Ostatnie tranzakcye majątkowe, dokonywane przez włościan, wynosiły rs. 67 za dziesięcinę. — W okolicach Pińska, dzięki osuszeniu błot kosztem rs. 3,000,000 na przestrzeni 2,460,000 dziesięcin, wartość tej ziemi wzrosła z 12 milionów do 60 milionów rubli. Po osuszeniu błot uzyskano 310,000 dziesięcin łąk wyborowych, 520,000 dzies. cennego lasu, 100,000 dzies. ziemi uprawnej i 460,000 dzies. ziemi zdatnej pod uprawę niektórych roślin użytecznych. Łąki rządowe oddawane są w dzierżawę wyłącznie włościanom. Po osuszeniu błot zbudowano w Pińskiem dwie linie kolei żelaznych, 137 wiorst dróg gruntowych i 407 mostów. Nadto, znaleziono w południowej części Polesia rudę żelazną, węgiel kamienny, grafit i kwarcyt.

Petersburg. Organ specyalny *Jurid. Gaz.* podaje następujące informacye: „Dążąc do utrwalenia jedności władzy policyjnej w państwie skasowano w swoim czasie III wydział własnej Jego Cesarskiej Mości kancelaryi i utworzono w łonie ministeryum spraw wewnętrznych departament policyi. Obowiązki szefa żandarmów powierzone wówczas były ministrowi spraw wewnętrznych, jednemu zaś z jego towarzyszy czynności naczelnika korpusu żandarmów i zarząd policyi w państwie. Atoli w takich warunkach jedność zwierzchniej władzy policyjnej nie była jeszcze osiągniętą ostatecznie i sam minister spraw wewnętrznych stał niejako po za sferą spraw policyjnych. Praktyka przekonała dowodnie, że taki stan rzeczy jest nienormalny i powoduje masę niedogodności. Otóż z chwilą objęcia teki ministra spraw wewnętrznych przez p. Goremykina, kwestyę tę poddano szczegółowemu rozpoznaniu i mówiono już nawet o zupełnem wyodrębnieniu korpusu żandarmów i utworzeniu samoistnej instytucyi policyjnej, czyli o przywróceniu takiego stanu rzeczy, którego niedogodności przesądzono w praktyce. Obecnie z mocy reskryptu Najwyższego z 4 czerwca korpus żandarmów poddano pod bezpośredni zarząd ministra spraw wewnętrznych, któremu do pomocy w rządzeniu tym korpusem dodano pomocnika szefa żandarmów. Wobec tego minister spraw wewnętrznych, jako szef żandarmów, jest naczelnikiem głównym wszystkich zarządów i oddziałów korpusu żandarmów. Ma zwierzchni nad-

zór nad ścisłem wykonaniem obowiązków przez korpus żandarmów (art. 659 III księgi kodeksu praw wojskowych) i do niego należy zwierzchnie kierownictwo w sprawach, dotyczących działalności korpusu żandarmów, gdy chodzi o wykrycie przestępstw (art. 660 tej samej księgi). Na mocy artykułów 665—667 księgi III kodeksu praw wojskowych, ministrowi spraw wewnętrznych przysługuje prawo inspekcyi, nominacyi i przenoszenia członków korpusu żandarmów. Słowem wszelkie obowiązki ministra wojny, szefa i naczelnika korpusu, odnośnie do korpusu żandarmów, zjednoczone są obecnie w osobie ministra spraw wewnętrznych." Według *Prawitielstw. Wiestnika*, na stanowisko pomocnika szefa żandarmów powołano b. gubernatora wileńskiego, generała Freze.

Kijów. Kijowskie towarzystwo wzajemnego ubezpieczenia od ognia liczyło do 1 stycznia r. b. 1,420 członków. W ciągu r. z. przyjęto ubezpieczeń na sumę 29,759,000 rs. Instytucya rozporządza następującymi środkami: kredytem, który otworzyła rada miejska w kwocie 100,000 rs., kapitałem zapasowym 272,445 rs. i premium zapasowem na 34,442 rs. Towarzystwo poniosło strat, spowodowanych przez pożary, na sumę 53,000 rs., ogólny zaś rozchód wynosił 63,820 rs. Ze składek wpłynęło do kasy 62,657 rs. W roku więc sprawozdawczym było deficytu 1,163 rs. — Kolej z Berdyczowa do Żytomierza ma być ostatecznie skończona i oddana do użytku w bieżącym miesiącu. Jednocześnie spodziewany jest przyjazd komisyi rządowej. — W Kijowie powiększają wodociągi miejskie, których koszt przewyższy rs. 900,000. Woda czerpana będzie ze studzien artezyjskich. Jeden otwór już ukończono; daje on 8,000 wiader na godzinę. Wszystkich otworów będzie 8. Wierceniem studni kieruje prof. Woysław, który równoczeście wierci otwory w Berdyczowie, gdzie buduje także wodociągi na koszt hr. Tyszkiewicza. Wogóle roboty wodociągowe w gubernii Wołyńskiej znacznie się rozwinęły. W Żytomierzu przystąpiono do budowy wodociągu miejskiego w połączeniu z oświetleniem elektrycznem. Budowę powierzono inżenierowi Drzewieckiemu z Warszawy. Kierownictwo objął inżenier Librowicz.

PRASA ROSYJSKA.



Grażdanin zamieszcza następujący list, oberprokuratora Pobiedonoscewa:

„Szanowny Panie!

„Z powodu 50-cio lecia służby mojej umieszczono w nr. 49 *Graždanina* artykuł, przypisujący mi udział w wypadkach, jakie zaszły po 13 marca r. 1881.

„Nie mam zwyczaju mówić o sobie publicznie; skoro jednak opowieść o mnie podaną została do wiadomości ogółu i gdy już mowa o udziale moim w wypadkach historycznych, poczytuję sobie za powinność wskrzesić prawdę i sprostować niedokładności, jakie napotykam w opowieści wyżej wzmiankowanej.

1) Najzupełniej błędnie przypisano mi osobiście obalenie projektu, opracowanego przez hr. Loris-Melikowa. Nastąpiło to na posiedzeniu rady ministrów, która się odbyła 20 marca 1881 r., w obecności Najjaśniejszego Pana. Na posiedzeniu tem wypowiedziałem zdanie moje przeciwko temu projektowi, zdanie, znane dawniej hr. Loris-Melikowowi. Wszakże nie było ono odosobnionem, lecz zgadzało się z opiniami i innych członków rady. Z opiniami temi raczył zgodzić się i Najjaśniejszy Pan, co też wyraził na posiedzeniu.

2) Najzupełniej błędnie przypisany jest nieboszczykowi Katkowowi udział w sprawie tej uchwały i wywarty niby na mnie jego wpływ. „Przez cały ten czas nie widziałem się wcale z Katkowem i nie prowadziłem z nim żadnych narad, ani dyskusyj w sprawie decyzyi powyższej. Wydanie Manifestu z 8 maja, postawione jest w związku z odrzuceniem projektu hr. Loris-Melikowa. Tymczasem był to akt zgoła odrębny. Spoczywający w Bogu Monarcha mówił niejednokrotnie hrabiemu o konieczności uświadomienia ogółu o stanowczej woli Monarchy, dotyczącej utrzymania w formie niezmiennej, podstawowych zasad rządzenia, opartych na samowładztwie, ale hrabia Loris-Melikow zwlekał bez względu na przypomnienia. Wówczas to Najjaśniejszy Pan raczył polecić mnie zredagowanij Manifestu, co też wykonałem. Oto w zarysach ogólnych, nie dotykając szczegółów, prawda istotna o udziale moim w przebiegu wypadków, które miały miejsce w marcu i kwietniu 1881 r.

Proszę przyjąć itd.

K. Pobiedonoscew."

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. *Nowosti* podają wyjaśnienie ministra skarbu, że sprawa wypoczynku robotników w dnie świąteczne ma być rozstrzygana przez porozumienie fabrykantów z robotnikami. Wykaz dni, jakie mają być w ten sposób obchodzone, zatwierdza inspekcya fabryczna.

— Syndykat lekarzy w Montpellier wprowadził t. zw. „czarną księgę." Kto nie uiścił lekarzowi honoraryum, jest do niej wpisywany, a jej egzemplarze mają wszyscy lekarze. Pacyent, w razie choroby nowej, nie otrzymuje porady, dopóki się nie wypłaci. Proponowano zaprowadzić podobną księgę w syndykacie lekarzy paryskich, lecz wniosek odrzucono prawie jednogłośnie, a referent, dr. Kortz, wyraził swoje oburzenie na podobne środki.

— Wdowa po baronie Hirschu wręczyła komitetowi kolonizacyi żydowskiej w Argentynie 100 milionów franków. Jest to wykonanie zapisu nieboszczyka.

— Przy Towarzystwie lekarskiem w Warszawie powstaje oddział antropologiczny, na który Kasa Mianowskiego przeznaczyła rs. 400.

— Inspektor fabryczny gubernii Warszawskiej otrzymał następujące wyjaśnienie z ministeryum skarbu. „Według obowiązujących przepisów, fundusz z kar pozostałych w razie zamknięcia fabryki przechodzi na powiększenie ogólnego kapitału przeznaczonego na pomoc i wsparcia robotników starych i niedołężnych. Jeżeli jednak fabryka wskutek pożaru zawiesza swoje czynności tylko na pewien okres czasu i jeżeli ma po odbudowaniu dalej działać, wówczas fundusz z kar nagromadzony nietylko nie podlega przelewowi do kapitału ogólnego, ale może być użytkowany na wsparcia dla robotników danej fabryki, pozbawionych zarobku wskutek zawieszenia robót."

Wyjaśnienie. Inżenier p. Gustaw Kamieński, który 19 lat pracował na kolejach w wydziale mechanicznym i jechał pociągiem, rozbitym pod Chotyłowem, wyjaśnia w *Kuryerze warsz.* przyczynę i okoliczności katastrofy w sposób następujący: 1) Pociąg, który wyszedł z Łukowa ze spóźnieniem 55 minut (skutkiem przybycia pociągu z Iwangrodu z równem spóźnieniem), szedł z prędkością zwiększoną, ale nie przesadzoną, ponieważ do Chotyłowa napędziliśmy tylko 14 minut, co na przestrzeni około 70 wiorst jest nietylko tolerowane, ale nawet wymagane. 2) Maszyniści podlegają karze tylko w razie, jeśli spóźnienie nastąpiło z ich winy, a to celem równoważenia premiów z oszczędności na paliwie, które idzie na korzyść maszynisty. Gdyby tych kar nie było, maszyniści zawszeby się spóźniali, zużywając jak najmniejsze ilości paliwa i zarabiając tym sposobem znaczne sumy. Przepisy co do kar itp. są zatwierdzane przez władze rządowe i nie są samowolą zarządów kolei. Z powyższego wypada, że maszyniści w razie oczekiwania na przybycie pociągu sąsiedniej kolei, zatrzymania jego skutkiem dużej ekspedycyi pocztowej, burzy i silnego bocznego wiatru, karze nie podlegają. Tym więc sposobem w opisywanym wypadku żadna kara nie groziła maszynistom. 3) Maszyniści, z którymi rozmawiałem, byli zupełnie trzeźwi i nie wyglądają wcale na ludzi upijających się. Również cała brygada konduktorów była w zupełnym porządku." Według przypuszczenia p. K., katastrofa wynikła skutkiem uszkodzenia osi wagonu, idącego za brankardem.

Wystawy i zjazdy. Druga międzynarodowa wystawa sztuki otwarta będzie w Wenecyi r. p. od 22 kwietnia do 31 października.

— Międzynarodowy kongres chemików odbędzie się w Paryżu od 27 lipca do 5 sierpnia r. b. Urządzeniem jego zajmuje się związek francuskich chemików przemysłu cukrowego i spirytusowego. Adres biura kongresu: M. Francois Dupont, lub też M. Auguste Eclancher, Paris, Boulevard Magenta 156.

— W Niższym Nowogrodzie odbył się zjazd straży ogniowych.

— Ogłoszono urzędownie udział Niemiec w wystawie paryskiej r. 1900.

— W Genewie między 1 a 8 września odbędzie się kongres ginekologiczny międzynarodowy.

Koleje i komunikacye. Zatwierdzono budowę odnogi kolejowej z Wołomina do Rembertowa. Ma być skończona r. 1897.

— W sprawie bezpośredniego połączenia kolejowego Warszawy ze Lwowem, *Gazeta lwowska* pisze: „Ze strony rządu austryackiego zrobiono już wszystko, bo linię kolejową przeprowadzono wprost ze Lwowa do Bełzca, a więc do samej granicy rosyjskiej. Idzie więc tylko o to, aby na niewielkiej przestrzeni wybudowano po stronie rosyjskiej kolej z Tomaszowa do granicy, a wtedy podróż z Warszawy do Lwowa trwać będzie 12 godzin, gdy dziś na Kraków trwa co najmniej 24. Donoszą nam z Warszawy, iż tamtejszy zarząd kolei skarbowych, pod którego administracyę za rok przejdą już wszystkie koleje prawego brzegu Wisły w Królestwie Polskiém, weźmie się przedewszystkiem do budowy odnogi kolejowej od linii Nadwiślańskiej do granicy galicyjskiej. Na rok przyszły projektowane jest jeszcze rozpoczęcie budowy w pobliżu granicy galicyjskiej, mianowicie z Ostrowca, stacyi krańcowej kolei Dąbrowskiej, aż do Tomaszowa pogranicznego. Połączenie kolei Nadwiślańskiej z granicą galicyjską, a więc z linią, rozpoczynającą się w Bełzcu, stoi na pierwszym planie."

— Według zapewnienia *Kuryera warsz.*, na wiosnę r. 1897 rozpocznie się budowa kolei podjazdowej od Slucka do Horodzieja, stacyi kolei Moskiewsko-Brzeskiej.

Zdrowie publiczne. Od października zachorowało na cholerę w Egipcie 8,956 osób, zmarło 8,069. Olbrzymia śmiertelność wynika z zupełnego niemal braku organizacyi lekarskiej.

— W Gdańsku stwierdzono wypadek cholery. Skutkiem tego statki, odchodzące z Gdańska do Anglii, muszą się zaopatrywać w świadectwa zdrowia, bez których nie wolno im przybijać do lądu.

Wypadki. Z Królewca donoszą, iż w Bonenburgu podczas wizytacyi kościelnej załamał się chór przepełniony. Dwie osoby zginęły, 30 ciężko ranionych.

— W prefekturach Tojamy i Szigi, na zachodniem wybrzeżu Japonii, powódź zrządziła olbrzymie szkody. W jednej tylko Tojamie runęło 3,000 domów.

Zmarli. Ernest Curtius w Berlinie; słynny historyk. Liczył 82 lata. Największej popularności doczekała się jego „Historya Grecyi."

Odpowiedzi Redakcyi

P. A. Wolskiemu, inż. górn. Dosłowny tytuł w oryginale: „Żurnał tarifnawo komitieta po woprosu o poniżenii do $^{1}/_{100}$ kop. s puda i wiersty tarifow na chlebnyje gruzy." (Wydawnictwo ministeryum skarbu departamentu spraw kolejowych r. 1896). Dane o eksploatacyi na str. 8—9.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 5 Іюля 1896 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.